

5351





W. Nałkowski

237

DOKOŁA ALP

**Luźne notatki i refleksje z błyskawicznej podróży.
Z 35 rysunkami w tekście.**

Warszawa, 1904.

**Księgarnia Naukowa
Krucza 44.**

<http://rcin.org.pl>

W. NAŁKOWSKI

DOKOŁA ALP

Luźne notatki i refleksje z błyskawicznej podróży.
Z 35 rysunkami w tekście.

(Odbitka z Przyrody)

CBGİOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 0 22 69-78-773



Wa5149911

Warszawa, 1904.

Księgarnia Naukowa, Krucza 44.

<http://rcin.org.pl>

Доволено Цензурою.
Варшава, 18 Мая 1904 г.



5351

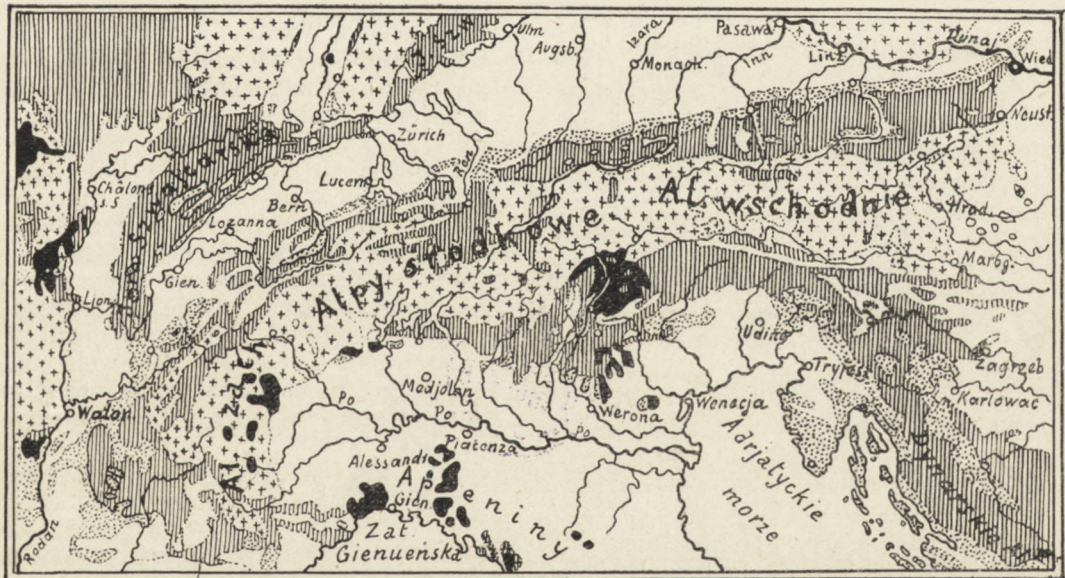
Druk K. Kowalewskiego, Warszawa Mazowiecka. 8


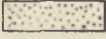
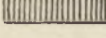
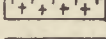

Pojęcia podróżnika i geografę często bywają u nas mieszane, utożsamiane; różnice ich — nie pojmowane należycie. Wprawdzie niekiedy oba te pojęcia mogą się łączyć w jednej osobistości, np. w Humboldcie, podobnie jak mogą się w jednej osobistości, np. w Besslu, łączyć zdolności matematyka i obserwatora. Normalnie jednak biorąc, ujawnia się tu,

Lecz ten podział pracy, jak każdy, ma obok stron dodatnich, także i ujemne, zarówno pod względem rzeczowym jak i psychicznym: to jest zarówno dla nauki jak i dla człowieka. Podział pracy rodzi mianowicie jednostronność, która szkodzi przedmiotowi, a powtórę rodzi w duszy badacza — człowieka, dążącego do pełni, harmoniji, pewne uczucie przykre, niezado-

MAPA GEOLOGICZNA ALP I ICH OKOLIC.

100 50 0 100 km.



- Objaśnienie znaków:
-  system trzecio—i czwartorzędowy,
 -  system kredowy (piaskowce, wapień),
 -  system tryjasowy i jurajski (wapień),
 -  system archaiczny (granity, gnejsy, łupki mikowe),
 -  skały wybuchowe (porfir, trachit, bazalt),

nierzawo nawet bardzo ostro, zasada podziału pracy, wykluczania się zdolności: podróżnik wyrabia cegiełki, gromadzi głązy — geograf buduje z nich harmonijny gmach według pewnych idei architektonicznych.

wolnie, tęsknotę. Iluż to podróżników-badaczy, przykutych całe życie do drobiazgowego badania małej cząstki naszej planety (np. Abich, badacz Kaukazu) tęskniło za objęciem jej całości, za syntezą całego „oblicza ziemi”. Z drugiej strony, geograf,

który musi obejmować wzrokiem ducha cały glob ziemski, przedstawiać krajobrazy, wogóle — zjawiska ziemskie, których nieraz sam bezpośrednio nie oglądał, doznaje mimo najwierniejszej wyobraźniowej intuicji i ścisłego rozumienia związków, przykrych uczuć innego rodzaju. A nie myślimy tu o skrupulach Peschla, że „geograf zrywa kwiaty z cudzego ogrodu”, albowiem zwija on z nich bukiet, a wicie bukietów jest pracą zarówno twórczą, jak hodowanie kwiatów. Myślimy tu o zyciowym, artystycznym uczuciu tęsknoty za widokami kreślonych przez siebie obrazów, za wejściem z nimi w bezpośrednie stosunki — o tym uczuciu, jakiego doznaje szwaczka, szyjąca suknie na bale, w których sama nie może brać udziału. I nie dość na tym: geograf, wznosząc gmach, z wyrobionych przez kogo innego cegieł i głazów, coraz wyżej i wyżej, doznaje nieraz uczucia niepokoju, czy jego fundament, jego materiały są zupełnie pewne; pragnąłby się przekonać naocznie o prawowitości ich pochodzenia, o sposobach ich fabrykacji, — pragnąłby, mówiąc bez przenośni, sprawdzić swe pojęcia i teorie do ich podstaw konkretnych i tym sposobem sprawdzić je, skontrolować.

Z takich mniej więcej pobudek wynikła moja podróż: chciałem sprawdzić poglądowo moje pojęcia geograficzne; prócz tego — zyskać porównawcze podstawy w zjawiskach krajów obcych dla oceny zjawisk kraju własnego i wywiązania się z przyjętych zobowiązań. Chodziło mi o naoczne poznanie kilku grup zjawisk najbardziej typowych, jak świat gór alpejskich z jego lodowcami, jeziorami, wodospadami, kanjonami; świat wulkanów, jako zjawisk morfologicznych; świat morza, jako żywiołu krajobrazowego i działającego na brzegi; wreszcie — świat zjawisk karstowych, arenę działalności wód podziemnych. Względ na malowniczość krajobrazów, który, zapoczątkowany już przez Humboldta („Obrazy Natury”), zaczyna obecnie w wykształceniu geograficznym grać coraz większą rolę, też kierował w części moim wyborem.

Odpowiednio do tych celów obrałem marszrutę: Austrija, Tyrol, Szwajcarja, Ower-nja, Riviera, Lombardja, Adriatyk, Karst — „dookoła Alp”. Czas miałem na to bardzo krótki, jeden miesiąc (od początku lipca do początku sierpnia), musiałem go więc zużytkować jak najintensywniej i ściśle do celu zastosować: używać pociągów pospiesznych, zatrzymywać się w miejscach waż-

niejszych niewielej nad 1—3 dni; wielkie zbiorowiska ludzkie, ich zabytki i osobliwości, oraz stosunki społeczne nie mogły mnie na ten raz zbyt pochłaniać: w wielu miastach po drodze byłem tylko po parę godzin, często jedynie dla noclegu, tak iż uwagi moje w tym względzie są zupełnie przypadkowe, dorywcze. Zresztą nawet i w poznaniu wielu zjawisk przyrody, musiałem ograniczyć się na obserwacji z pospiesznego pociągu — niby obrazów kinematografu.

Wrażeniami memi pragnę się tu podzielić z czytelnikami, zastępując im widoki rzeczywiste odwzorowaniem słownym i fotograficznym ¹⁾.

* * *

Wieczorem dnia 6 lipca 1902 r. wsiadamy w Krakowie, wraz z dwoma dobraćmi znajomymi z Warszawy, do pociągu kolei Północnej, spieszącego do Wiednia; ścisł, jak zwykle w wagonach austrijackich, nie do zniesienia; na domiar złego jeden z pasażerów zamyka systematycznie wszystkie okna: obawia się przeciągów! Robię uwagę, że przeciągi to przesąd; on szeroko dowodzi, że nie są bynajmniej przesądem, że są niezmiernie szkodliwe. Jeden z mych warszawskich towarzyszy, chcąc mu zrobić dywersję, rzuca zdanie, że przesady są zawsze szkodliwe. Ale nasz oponent, choć słaby wobec przeciągów, jest widać mocny w dialektyce, bo odpiera ten boczny atak: „przeciągi są szkodliwe nie jako przesąd, lecz jako takie” — nie darmo jest adwokatem z Cieszyna! Z adwokatem trudna sprawa: i dialektyk dobry i zna prawa austriackie — zapadam więc w ponure milczenie i duszę się w ścisłku i upale. Noc ciemna absolutnie, przez okna zamknięte nie zaobserwować nie można, pozostaje mi tylko świadomość, że pędzimy ku bramie Morawskiej i równinom Morawji, po dnie dawnego morza, które dzieliło młode Karpaty od starych Sudetów i oblewało łuk Alp po jego stronie zewnętrznej, a teraz ułatwi nam drogę do ich „okoła”. Pędzimy drogą wojowników — tedy szły niegdyś skrzydlate zastępy Sobieskiego pod Wiedeń i armje napoleońskie z pod Wiednia.

¹⁾ Dla orjentowania się, a nawet zrozumienia wielu rzeczy nieodzownym jest przy czytaniu atlas; w razach, gdy zwykłe atlasy z powodu małej skali będą niedostateczne, podawać będziemy mapki większej skali.

Gdy się nieco rozwidniło i słońce zaczęło się wychylać z poza horyzontu, byliśmy w malowniczej okolicy Lipnika, gdzie piaskowce fałdy karpackie, parte z południowoschodu, najbardziej się podsunęły pod starą masę Sudetów; ponad bujnymi niwami i budynkami zakładu wodoleczniczego, wznoszą się lesiste, silnie kopcowate góry. Dalej roztoczyły się przed nami równiny Wagramu i Aspernu, użyznione obficie krwią ludzką—Marchfeld, zapadnięcie kotliny Wiedeńskiej, które oddzieliło Karpaty od Alp. Wreszcie ukazał się piaskowcowy, jak i Karpaty, Kahlenberg—północnowschodnie skrzydło alpejskiego wachlarza roztoczonego od Morawji do Adrii, urwanego nagle zapadnięciem nizin Węgierskiej. Trzonek tego wachlarza, zgięty ku południowi, utkwiał daleko na południo-zachodzie w modych falach morza Śródziemnego, upragnionej przez nas „talassy”, ku której dobroczynna potęga pary przerzuci nas niebawem.

Ten wachlarz alpejski różnorodne, różnobarwne ma skrzydła: po środku piętrzą się pasem najwyższe, najtwardsze, najstarsze krystaliczne olbrzymy z granitów, gnejsów i prastarych łupków; po obu bokach przyległy niższe skrzydła wapienne, obrębione po stronie zewnętrznej gdzieniegdzie, jak w Austrii i Szwajcarii, paskami piaskowcowymi. Siła kurczącego się globu ziemskiego, prac warstwy skorupy z południowoschodu i południa ku starym masom wyżynowym centralnej Francji i Czech, wzburzyła te warstwy w długie łukowate fałdy, niby kręgi fal wodnych, parte podmuchem wiatru ku wybrzeżu. Najwyższe grzbiety fałd, najbardziej pokruszone, najbardziej atakowane przez siły zewnętrzne atmosfery, wody i lodowców, zostały pozbawione górnej młodszej powłoki, „odarte ze skóry” i wystąpiły na jaw jako środkowy najwyższy pas krystaliczny; po bokach niższych utrzymały się jeszcze warstwy młodsze, uchronione od spłókania. Gmach, jak się zdaje, o bardzo prostej symetrycznej architektonice. Ale to tylko w zarysach bardzo ogólnych, z gruba; i nawet w tych grubych zarysach prawidłowość nie występuje wzdłuż całego łuku alpejskiego: zapadnięcie zachodniej części wapiennego pasa wewnętrznego ku nizinie Lombardji naruszyło tutaj symetrię; a po większym wniknięciu w budowę gmachu, po bliższym w niego wglądnięciu można się przekonać, że zawiera on mnóstwo komplikacji, zabu-

rzeń, nieprawidłowości, trudnych nieraz bardzo do wyjaśnienia. Badacze architektоники, czyli tektoniki Alp przyznają, że „to, co obecnie jako całość widzimy przed sobą—to tylko ruiny najrozmaitszych budowli, powstałych w różnych czasach według różnych planów, zgromadzone razem pod wspólnym dachem”.

Po ostatnim, energicznym wzniesieniu tej budowli obsiadła ona następnie nieco, przez co dolne części spływających po jej stokach rzek zostały nieco względnie podniesione, zatamowane i stąd u stóp Alp rozlały się liczne malownicze jeziora. Krasa to zwykle nietrwała, znika ona z wiekiem, zamulona, zanieciona rumowiskiem skalnym, znoszonym przez wody płynące; tutaj utrzymała się ona dotąd w dobrym stanie, albowiem zagłębienia jeziorne powstały tu niedawno, a przytym wkrótce po powstaniu zostały pokryte mroźnym całunem, który powstrzymał niejako bieg czasu: pod lodem zagłębienia zakonserwowały się, uchronione od niszczącego dla nich działania wód płynących. Gdy dawne olbrzymie lodowce cofnęły się, skurczyły się do drobnych rozmiarów dzisiejszych, doliny, przez nie zakonserwowane, wyszły na jaw w swojej pierwotnej postaci niezmienione, niby człowiek, któryby zapadł w jakiś sen magiczny i zbudził się po długich latach takim samym młodzieńcem, jakim się do snu ułożył; zagłębienia te, wypełnione wodą, wystąpiły jako jeziora. Lecz z chwilą ich narodzin zaczęły one ulegać działaniu wód płynących, które, znosząc rumowisko z gór, zniżają góry a wypełniają jeziora — i one muszą ulec znikomości wszelkiego bytu.

Jedziemy dalej, przed nami płynie „piękny, modry Dunaj”, przejeżdżamygo i jesteśmy w również pięknej i wesołej stolicy walcę, „stolicy Naddunajskiej”, stolicy różnolitego i różnojęzycznego państwa, związanego w geograficzną całość nicią wielkiej rzeki. Ruch olbrzymi, błyskawiczny; tramwaje elektryczne, koleje miejskie; przeskakiwanie z tramwaju na tramwaj, z pociągu na pociąg Z początku zawraca się w głowie, lecz wkrótce przywykam do tej spotęgowanej fizjologii wielkiego miasta, człowiek staje się integralną częstką tego wielkiego organizmu; tymbardziej, że wiedeńscy są niezmiernie życzliwi, dobrzy, uprzejmi, chętnie wszystko objaśnią, nawet jeszcze przedtym, nim zdołaliśmy zadać py-

tanie—uprzedzają myśli. Zdaje się, żeśmy się dostali pośród dobrych, dawnych przyjaciół; to też współczujemy im, gdy śpiewają „jedno jest tylko miasto cesarskie, jeden jest tylko Wiedeń”.

Lecz nie możemy całego serca oddać Wiedniowi, radzibyśmy pozostać tu dłużej, ale czas krótki, a ciągną nas lodowce, dalekie wulkany i morze; więc nazajutrz rano jedziemy na „Westbahn” i pędzimy na zachód ku Salzburgowi.

Za Wiedniem jedziemy wśród bujnych ogrodów, parków i pięknych willi; za nimi falują wzgórza lesiste piaskowcowego Lasu Wiedeńskiego — całe morze zieleni: Wzgórza wciąż rosną; krajobraz gór średnich, lesistych, doliny zielone, uprawne z osadami ludzkimi. Przebywszy Las Wiedeński dwoma tunelami, wjeżdżamy na wyżynę Podalpejską (Austrijacką), jedziemy po dnie tego morza, które oblewało Alpy z północy; dno to obecnie urozmaicone, porznięte przez wody, płynące z Alp, ma charakter pagórkowaty, wzdłuż niego płynie Dunaj; party z południa przez dopływy alpejskie, zarywa on miejscami północnych czeskich granitów powyżej Krems wrzyna się w nie, ulegając zwałom żyznym i tworząc przedwinie. Jedziemy po cięciwie (Wiedeń—St. Pölten — Melk) łuku, który Dunaj zakreśla ku północy, uwalniając się od granitów. Jest to najbardziej historyczna część Dunaju, przypominająca wyłom Renu; tu wznoszą się liczne klasztory i zamki — Dürrenstein na przykładu czeskiej wyżyny, więzienie Ryszarda Lwie Serce.

Towarzysze w wagonie—dobrodusznymi i weseli wiedeńscy; jeden z nich, może zbyt czciciel Gambrynsa, zdołał już zasnąć; inni skrobą go w nos, czym kto może; śpiący ogania się odruchowo i krzywi komicznie—śmiech ogólny. Jako pedagog w nowoczesnym stylu, pojmujący, iż zadaniem jego jest tylko rozwijać przyrodzone cechy psychiczne pupilów, staje natychmiast na ich stanowisku i idę konsekwentnie dalej: podsuwam mimochodem (by nie psuć samodzielności) ideę metody trwalszej—za pomocą atramentu; już zamierzali eksperymentować, lecz, niestety, okaz się obudzili. Pociąg pospieszny pędzi jak szalony, nie zważamy na ostrzeżenie kolejowe: „nicht hinausbeugen”—chciałoby się całym korpusem wychylić za okno; owiewa nas świeże górskie po-

wietrze. Na południu mającej wdałi prawdziwe góry, znacznie wyższe, lecz dość łagodne, w kształcie zamglonych kopców—to Alpy tego samego pasa piaskowcowego. Tor kolejowy na całej linii wysypany piaskowcem; z tego samego materiału są podmurowania. Na polach wiele koniczyny; kopy jej wysokie i cienkie, jak kęgle, układane dokoła drążków z poprzecznymi ramionami, niby wielokrotne krzyże; po zebraniu koniczyny pola są utkane takimi krzyżami. Przecinamy rzeki spływające z Alp do Dunaju, naprzód Ens, dalej Traun, płynący z malowniczo Salzkammergut, gdzie występują pierwsze jeziora alpejskie. Pod Linzem żegnamy Dunaj i ostatnie odnogi czeskiego masywu, które nam dotąd towarzyszyły od strony prawej i zwracamy się ku południo-zachodowi w górę doliny Traunu, przecinając ukośnie, już znacznie tu rozszerzoną wyżynę Austriacką i zbliżając się ku Alpom. Pod Vöcklabruck odchodzi kolejka do jezior Salzkammergut, którego szczyty mającej, jak mgła po lewej stronie drogi. Dalej ze strony prawej widać zbliżka urwiste zbocza gór, z poziomo uwarstwionego piaskowca—to lesisty, obfitujący w lignit Hausruck, góry denudacyjne, to jest wymodelowane z poziomych warstw wyżyny Austriackiej, oszczędzone od spłókania.

Oryginalny widok dla mieszkańca równin przedstawiają łąki i zbiór siana na zboczach górskich o bardzo znacznej pochyłości; nawet zbocza przekopów i nasypów kolejowych są łąkami. Zbiór siana w pełnym biegu, wszędzie widać jego fury, napelniane przez wieśniaków. U nas takie zbocza byłyby spalone od słońca; tu mają dość wilgoci dla wzrostu bujnych, zielonych traw; ale to nic dziwnego: niedaleko już Salzburg, a tu według przysłowia „ludzie rodzą się z parasolami”. Zbliżamy się ku Salzburgowi i wapiennym, kłocowatym Alpom Salzburskim; lancuch ich przedstawia nam się już wyraźnie, jakby dla nauki pogładowej o górach; dzieli nas od niego tylko wązkie i długie jezioro (Walersee), wzdłuż którego jedziemy. Pod samym Salzburgiem przekop wśród warstw już nie piaskowcowych, lecz wapiennych, silnie pochylonych. Tu po prawej stronie Salzachu urywa się już rąbek piaskowcowy gór łagodnych, lesistych; wkraczamy na południe w wapien-

ny pas Alp, w świat stromych nagich kolosów.

Za Salzburgiem rozległe torfowiska i kopalnie torfu; cegiełki jego dla wysuszenia są nanizane na tyczki, jak śliwki „na rożenkach” w spiżarniach naszych prababek. Bliskość kolei i znacznego miasta wywołuje tu znaczny rozwój eksploatacji, która wpływa ze swej strony na rozwój przemysłu. Na prawo od kolei widać malowniczą górę Untersberg, kłoc wapienny ze wspinałym zamkiem, a dalej kilka ostrych, mgłą owianych szczytów Alp Salzburskich.

Jadąc wciąż na południe w górę Salzachu, przeryzamy w poprzek Alpy Salzburskie, z początku dolina łąkowa cudownej zieleni, idylliczna, pasterska; siano rozwieszane na drewnkach jak konieczyna; widać, że to jedna z najbardziej dzdżystych okolic Europy, gdyż panujące w lecie wiatry północno-zachodnie, uderzając tu w wysoką ścianę Alp, wznoszą się po niej w górę, oziębiają i skraplają swą obfitą parą.

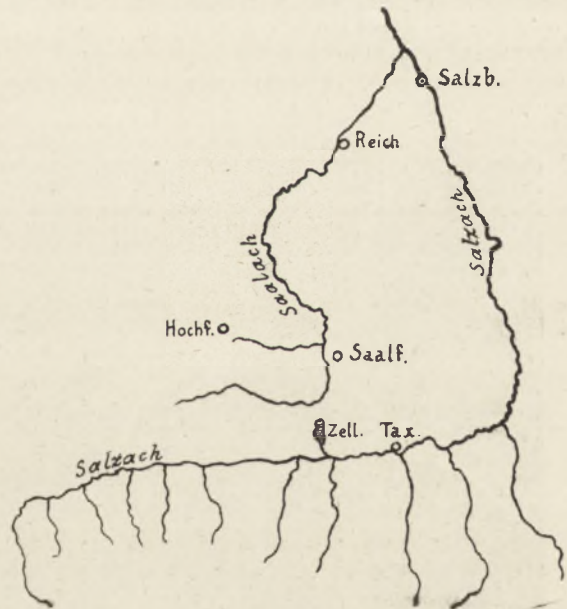
W miarę, jak pociąg pędzi ku południowi, ściany doliny zwierają się, zaczyna się właściwy wyłom Salzachu, w wagonach zapalono światła—tunel. Za tunelem, u stóp stromych ścian nad Salzachem, miasto Hallein z kąpielami słonemi. Wapienny charakter gór ujawnia się w białości wód rzecznych; nasypy kolejowe też z wapienia. Na południe od Halleinu, po prawej stronie, zaraz za Salzachem, wznoszą się górskie olbrzymy z płatami śniegu w zagłębieniach szczytów, a ściana przeciętego w poprzek łańcucha spada ku dolinie na kształt piramidy ściętej u wierzchołka; wiemy, że tuż za temi górami leży uroczy Berchtesgaden. Chciałoby się zamieszkać w tych cudnych zakątkach, gdyby nie parło naprzód pragnienie jak najintensywniejszego zużycia krótkiego czasu. Pędzimy dalej; nagie ściany o silnym upadzie warstw w stronę przeciwną biegowi pociągu, t. j. północnym; robi się ciemno, znów przebywamy tunel; za tunelem upad warstw w stronę biegu, t. j. południowy. Pod Bischofshofen koniec wyłomu; spoglądamy w jego stronę na północ; cudowny wiosek na nagie szare szczyty przyprószone śniegiem, które ślą nam orzeźwiający powiew.

Jesteśmy już we wnętrzu Alp, w podłużnej dolinie Salzachu (Pongau), stanowiącej ogniwo całego łańcucha dolin Enns-Salzachu-Innu, związanych ze sobą niz-

kiemi „dolinowemi” działami wodnymi w jedną dolinę przesnuwającą Alpy wschodnie i dzielącą północny pas Alp wapiennych od środkowego pasa Alp krystalicznych. Jedziemy na zachód między potężnymi równoległymi łańcuchami gór, w górę spienionego Salzachu; pod Lend Gastein ukazuje się po lewej stronie śliczny srebrzysty wodospad; od tych wód górskich, omijających stopy skał szarych powiewa chłód. Pod Taxenbachem, tu i owdzie w dali od rzeki widać wysokie krawędzie tarasu nadbrzeżnego, ślad, iż rzeka płynęła niegdyś na wyższym poziomie.

Pociąg pędzi, jak szalony, wiatr oszalał, krajobrazy migają, jak senne widziadła, słońce zapada za góry, dolinę pokrywa cień.

Przez okno (lukę), wytworzone w ścianie południowej doliną poprzeczną (stacja Bruk Fusch) widać góry, całe śniegiem



pokryte; to olbrzym Taueru, Grossglockner. Skrećamy na północ od doliny Salzachu; na prawo, wśród doliny na wzgórzach wznosi się piękny zameczek, a dalej stacja Zell am See z jeziorem pośród błót; przejeżdżamy nieznaczny dział wodny przed Saalfelden (728m) z torfowiskami i kąpielami błotnymi i dostajemy się do rzeki Saalach, płynącej na północ przez Alpy wapienne, przez Reichenhall, i uchodzącej do Salzachu poniżej Salzburga; doliną Saalachu (przez jezioro Zeller) płynęła niegdyś rz. Salzach na północ, jak tego dowo-

dzą otoczek z Alp krystalicznych, znalezione w dolinie Saalachu pod Reichenhall; Salzach, zatamowana przez lodowce, zwróciła się następnie na wschód i połączyła z Gasteinerachem, korzystając z jego wylomu w Alpach wapiennych. Torując sobie drogę na wschód, weszła się głęboko w dawny dział wodny i stąd owe tarasy nadrzeczne pod Taxenbach, o których wspomnieliśmy wyżej (wyjaśnienie Wähnera).

Za Saalfelden zwracamy się znów na zachód, w górę Saalachu, jedziemy po krawędzi tarasu, wznoszącego się coraz wyżej ponad dolinę, która wreszcie staje się przepaścią. Za stacją Hochfilzen (967m) wjeżdżamy w dolinę innego potoku, który płynie już w kierunku zachodnim. Małe wioski tyrolskie w zielonych dolinach leżą cicho wśród śnieżnych gór, dachy ochronione kamieniami od silnych wichrów; pośród wsi wznoszą się białe kościołki z cienkimi szpiczastymi wieżyczkami; w podobnych kościółkach znudzony życiem bohater Garborga chciałby pewno poszukiwać „utraconego ojca”.

Gdy się tak pędzi wciąż koleją, doznając aż do przesytu coraz nowych wrażeń, opanowywa nas wreszcie jakieś tęskne znużenie, i patrząc na rozesłaną u stóp wioskę górską, myślimy: jak szczęśliwi są ludzie, tak spokojnie, cicho tu żyjący. Gdy się jednak samemu zamieszka długo w jednej jakiejś odosobnionej miejscowości, opanowywa nas wkrótce martwota i zazdrościmy ludziom, którzy obok naszej siedziby przebiegają bystrym pociągiem, unoszącym ich w świat daleki na coraz nowe wrażenia. Jedziemy ku zachodzącemu słońcu, które złości obłoki, wkrótce obłoki różowieją, a góry czernieją i wśród ciemnej już nocy przyjeżdżamy do Innsbrucku; tutaj krzyżują się drogi: jedna doliną podłużną prowadzi do Vorarlbergu i Szwajcarii, druga poprzeczna prowadzi z południa, od Adriatyku przez obniżenie Brenner, przez Innsbruck na północ do Bawarii. W Innsbrucku nocujemy. Rano z okna hotelu oryginalny dla nas widok: góry śnieżne wydają się tak bliskie, że prawie dotykalne. Idziemy nad Inn, cudowna rzeka: przewala się potężnymi falami jakby podczas burzy. Ujęta



INNSBRUCK.

jest w tamy z twardego konglomeratu, z którego wiele tu budowli, murów i słupów. Tu i owdzie większe części składowe zwietrzały, co nadaje skale wygląd dziurkowaty.

Aby obejrzeć okolice ku wschodowi od Innsbrucku, przez które jechaliśmy nocą, wsiadamy na kolejkę idącą do Hall in Tirol wzdłuż Innu i szosy. Kapliczki, wzniesione rytmicznie wzdłuż drogi, zastępują tu słupy szosowe i świadczą o religijności górali tyrolskich. Jedziemy wzdłuż zielonej doliny między dwoma łańcuchami gór, z których południowy lesisty, a północny wapienny, stromy, stanowi swą nagością uderzający kontrast z doliną; jest to pod względem krajobrazowym jakby na olbrzymią skalę dolina Prądnika w okolicach Ojcowa. Śniegi gór wapiennych zbiegają po szarych zboczach białymi smugami w dół; dalszym ich ciągiem są smugi żółtawo-szare — łożyska potoków. Dolina Innu jest pięknie uprawiona; konieczyna a nawet zboże w małych snopkach ponatykane na sękaty tyczki; gdzieś tam widać pola kukurydzy jeszcze małej; oborują ją ręcznymi płukami kobiety, zaprężone po dwie lub trzy. Wzrostowi kukurydzy sprzyja tu föhn, ciepły suchy wiatr południowy, panujący głównie w Szwajcarii, ale sięgający na wschód aż w te okolice i podwyższający ich temperaturę tak, jakby były przesunięte o 1° ku południowi; dalej na wschód na wyżynie Austriackiej kukurydzy nie spotykaliśmy.

Z powrotem do Innsbrucku jedziemy przez całe miasto, z początku wzdłuż cienistej alei, wśród willi; potem przez właściwe miasto, którego okna są prawie zawsze zasłonięte żaluzjami od światła i pyłu wapiennego. Przejechawszy miasto, stajemy u stóp góry Berg Isel, gdzie Tyrolczycy walczyli z nadciągającymi od Brenneru Francuzami i gdzie swemu bohaterowi, Andrzejewi Hoferowi, wzniesli pomnik ze spiżu armat francuskich. Na szczycie góry stoi również altana z lunetą i planem Innsbrucku, co niezmiernie ułatwia orjentowanie się we wspaniałym widoku, jaki się stąd rozciąga: u stóp wije się rzeka Sill, płynąca od Brenneru i uchodząca do Innu pod bardzo ostrym kątem; w tym kącie między obu rzekami rozłożył się Innsbruck z licznymi czerwonymi wieżami kościołów na tle szarych i śnieżnych szczytów około 2500 m. wysokości. Linje, biegnące na planie rozbieżnie od stanowiska obserwatora, opa-

trzone numerami, wskazują kierunki odpowiednich szczytów, których nazwy i wysokości są wypisane obok odpowiednich numerów po prawej stronie planu. Oóż za wyborna poglądowa nauka okolicy ojezycznej dla tutejszej młodzieży!

Tego samego dnia po południu wyjechaliśmy koleją z Innsbrucku, dążąc ku granicy szwajcarskiej. Jedziemy wciąż na zachód tą samą doliną Innu; z lewej wznoszą się góry śnieżne, z prawej już bez śniegu; u stóp ich ścian ułożyły się potężne stożki nasypowe ze stoczonego rumowiska.

Za Landeckiem opuszczamy Inn, który tutaj, jak i łańcuchy Alp, zmienia kierunek równoleżnikowy na ukośny; jedziemy dalej w pierwotnym kierunku, ku zachodowi, podnosząc się w górę doliną poboczną Rosanny; przed nami z prawej strony rozpościera się cudowna dolina, obramowana śnieżnymi górami; pociąg pędzi jak wichur po nad przepaścią, gdzie wije się srebrną wstęgą strumień wśród jodeł i świerków. Nawet dwie piękne Tyrolki defreggerowskiego typu z koralikami na szyjach cisną się do okien, by się napawać cudownym widokiem, nie zważając na więcej usprawiedliwioną chciwość cudzoziemców — walka o widoki! Głowy spragnionych ledwie się mogą pomieścić w oknach, wiatr górski porywa włosy i piętrzy je w formy, nieprzewidziane przez żadne żurnale; miesza je, płącze i niewiadomo już, które do kogo należą... Po drugiej stronie kolei mieszkania małe przyczepione wysoko do skał, niby gniazda orłów. Chciałoby się zapaść w sen, w którymby się snuło ostatnie wrażenie, ostatnie wezbranie uczucia; ażeby ono skamieniało, skryzalizowało się — uniknęło losu tego świata, gdzie wszystko mija bezpowrotnie.

W wagonach błysły światła, rozległ się trzask zamykanych okien — przed nami tunel Arlberski, jeden z najdłuższych (10260 m.) tuneli alpejskich. Za tunelem jesteśmy już w dorzeczu Renu, jedziemy wzdłuż doliny Illu przez Bludenz, Feldkirch do Bux na granicy Szwajcarii — zegnajcie piękności tyrolskie!

Góry na chwilę łagodnieją, doliny rozszerzają się, bo wjechaliśmy znów w pas piaskowcowy, któryśmy opuścili po prawej stronie Salzachu poniżej Salzburga. Przejeżdżamy przez Ren, ujęty w wysokie tamy; jedziemy w górę rzeki na południe do Sargans, a stąd — na północno-zachód doliną błotnistą, którą niedługo płynął Ren, ku

dziko malowniczymu jezioru Wallen w okolicę największych zaburzeń sfałdowania alpejskiego: z początku widać po prawej stronie w promieniach zachodzącego słońca dziwny szczyt, utworzony przez fałdę, leżącą o warstwach zagiętych ku górze sierpowato—to tak zwany z tego powodu Sichelkamm ob Wallenstadt.



SICHELKAMM.

Jedziemy dalej przez Wallenstadt wzdłuż południowego brzegu jeziora Wallen z zielonawymi wodami; promienie zachodzącego słońca muskają wody jeziora, biją nas w oczy; za jeziorem na jego wybrzeżu północnym strome ściany, skaliste wznoszą się ku dziko poszarpanemu wapiennemu grzbietowi — to Churfirстен, ściana grupy Säntis, pierwotnie równa, poźłobiona następnie aż do górnej krawędzi przez erozję wód płynących.

Pod Wesen opuszczamy dzikie jezioro i jedziemy znów po błotnistej równinie; jest to delta rzeki Linth, która osadami swymi przecięła dawne bardzo długie, sierpowate jezioro, dzieląc je na dwa, Wallen i Zürich; to ostatnie wkracza już na wyżynę Szwajcarską—дно tego samego dawnego morza, któreśmy opuścili, przerzucając się w okolicę Salzburga z wyżyny Austryjackiej we wnętrze Alp. Jadąc północnym brzegiem jeziora Zürich, stanęliśmy na noc w Rapperswyln. Zjadamy tu po raz pierwszy szwajcarską kolację z se-

rem szwajcarskim i chlebem szwajcarskim, dziurkowanym tak samo jak ser, prawdopodobnie dla kongruencji, a zarazem, by masło rozrzedzone od upału miało którądy przeciekać.

Po kolacji nocą idziemy na groblę, wkraczającą w jezioro, siadamy na jej cyplu i patrzymy na wązki sierp księżyca, odbijający się długą smugą na fałdach jeziora; wreszcie sierp znika za górami—ciemność i cisza; tylko zdala dochodzą jakieś śpiewy chóralne, tak często rozlegające się w Szwajcarji („Ich bin schweizer Knabe”).

W nocy był deszcz, ranek pogodny; z okien hotelu pyszny widok na mieniące się w szafir i zielen jezioro, u stóp wzgórz pokrytych szachownicą pól i lasów. Na linii granicznej i gór jeziora bieleje prawie nieprzerwana smuga osad ludzkich.

Idziemy do Café National—jest wszystko prócz właśnie kawy. Obok na trotuarze jakaś Hausfrau rozebrała aż dwa łózka i zajmuje się energicznie chwalebny, ale dla przechodniów mniej przyjemnym oczyszczaniem oraz trzepaniem materacy i pierzyn.

Język niemiecki Szwajcarów jest często trudny do zrozumienia; trudno się z nimi porozumieć językiem książkowym. Mówiąc jak najdobiej, jest się często niezrozumianym; mój towarzysz twierdzi, że, chcąc być zrozumianym, należy zamamrotać co bądź pod nosem, adając kluski w gębie i stosuje tę swoją metodę z dobrym skutkiem.

Jedziemy dalej do Zürichu wzdłuż północnego brzegu jeziora; widzimy pierwsze winnice, winorośl pnąca się na tyczkach rzędami, biegnącemi w górę pochyłości pagórków pod Eurikon i dalej; kolej biegnie wciąż między jeziorem i pagórkami winnicowemi; w ogrodach wszędzie masy sałaty; stacje częste, co 5 minut. Tu i owdzie zbrocza winnice starasowane i podmuro-



CHURFIRSTEN.

wane. Młode niskie winnice wyglądają zdala jak pola oboranych kartofli; wyższe są jak pola fasoli tyczkowej. Widok winnic nie jest tak malowniczy, jakby się można było spodziewać; jest w nich pewna sztywność. Wolę widok niw falujących; jest w nich ruch, życie — jakby technienie nieskonczoności. Jesteśmy jeszcze za dnia w Zürichu — śliczne miasto, pełne zieleni i kwiatów, rozłożone na wzgórzach, nad pięknym jeziorem, po którym kursują parowce i unoszą się łodzie. W pensjonacie na Plattenstrasse przy stole zbiera się liczne i najróżnorodniejsze towarzystwo, turyści i studenci z całego świata, wieża Babel języków. I nie dziw: Zürich—to „szwajcarskie Ateny”. I mnie pociągnęła tutaj nadzieja zetknięcia się ze słynnym geologiem tutejszym, Heimem, znakomitym znawcą zjawisk lodowcowych oraz architektury gór i mechanizmu ich powstawania; góry stały się dlań przezroczystymi, „jakby były ze szkła”. Po niezmiernie sympatycznym, energicznym, ruchliwym, prawie tanecznym geologu lipskim Crednerze, który, wykładając o wybuchach wulkanicznych, stara się je upogładowić za pomocą harmonji naśladowczej, (mówi np. o materiałach wybuchowych z szaloną werwą: „zerstäubt, zerspritzt, emporgeschleudert werden”), — po sztywnym, wyprostowanym, mówiącym przez zęby, arystokratycznym baronie Richthofenie, obecnie profesorze berlińskim, ciekawy byłem zobaczyć, jak wygląda trzecia gwiazda geologiczna — geolog demokratycznej Szwajcarii.

Szczyście na ten raz mi sprzyjało: w dniu mego przybycia do Zürichu Heim zapowiedział odczyt wieczorny o swej podróży do Nowej Zelandji.

Wchodzimy na salę wykładową; kilkadziesiąt osób, mężczyzn i kobiet - studentek przechadza się lub siedzi i pije czarną kawę lub wodę sodową — nie tradycyjne piwo, gdyż jest to sala towarzystwa wszelakiej wstrzemięźliwości; w otwartym oknie siedzi jakiś czerstwy staruszek z białą brodą i patryjarchalną miną Boera, kiwa zwieszonymi nogami i popyja kawę, stojącą przy nim na oknie. „To profesor” — mówi półgłosem towarzyszający student zürichski.

Wreszcie profesor spogląda na zegarek, zeskakuje z okna i siada przy długim stole, wszyscy obecni siadają również; przed każdym, jak i przed profesorem, stoi szklan-

ka czarnej kawy; profesor wkłada do kawy cukier, miesza flegmatycznie i popija — nie spieszy mu się — Credner do tego czasu byłby już usypał kilka gór wulkanicznych! Nareszcie siedzący obok niego student o dziecinnym prawie wyrazie twarzy wstaje i, jako przewodniczący towarzystwa wstrzemięźliwości, zagaja posiedzenie, wyrażając profesorowi imieniem towarzystwa wdzięczność za chęć podzielenia się wrażeniami swej podróży.

Teraz wstaje już i sam profesor, bierze mapę Nowej Zelandji z wielkiego atlasu i przerysowuje ją bardzo pięknie kredą na tablicy. Gdy kontur jest skończony, Heim zaczyna wykład: mówi więc o starości tej wyspy, czego dowodem jest brak zwierząt ssących prócz nietoperza, zaniesionego tu burzą, oraz szczura, przywiezionego mimowoli na okrętach; o faunie ptasiej, która nie umiała latać, bo nie posiadała wrogów. Zwracając się do ukształtowania wyspy, mówi o poprzecznym uskoku, który utworzył cieśninę Cooka i podzielił Nową Zelandję na dwie wyspy, północną i południową: jest to mianowicie pęknięcie, wzdłuż którego nastąpiło lekkie przesunięcie poziome, tak iż obie wyspy nie pasują już do siebie dokładnie — północna jest względem południowej przesunięta nieco ku wschodowi (południo-wschodowi), jak to wyraźnie widać na mapie po przebiegu wschodniej linii brzegowej.

Następnie prelegient przechodzi do ludności; mówi o dawnym przybyciu na wyspę jakiejś ludności pierwotnej, która wytopiła wielkiego ptaka moa, następnie o przybyciu Maorów, o ich ludożerstwie, wynikłym z braku mięsnego pożywienia; wreszcie o przybyciu na wyspę Europejczyków; opowiada wiele „witzowatych” epizodów tego pierwszego zetknięcia się krajowców z rasą białą. Tak np. Maorowie zdobywszy worki z mąką, nacierali się nią dla ozdoby na białą, a zdobywszy worki z prochem, nacierali się nim znów na czarno; ta ostatnia tulaeta nie wyszła im na dobre: za zbliżeniem się do ognia, zaczęły po ciałach natartych prochem wybuchać drobne eksplozje, płomyki. Maorowie byli pewni, że dusze pożartych białych wydobywają się z nich przez skórę i zmykają; skrupowani tym zabobonem odmawiali sobie przyjemności pożerania białych. Zdobyte pieniądze bardzo ich ucieszyły: puszczały nimi tak zwane „kacz-

ki” po wodzie, podobnie jak to czynią dzieci płaskimi kamykami.

Obecnie ci dawni dzicy ludożercy stali się zupełnie innymi ludźmi: są łagodni, spokojni i tak uczeni, że klucze są tam narzędziem niepotrzebnym. Wszystkie drzwi stoją otworem; nie zastawiają np. gospodarza w domu, można chodzić swobodnie po wszystkich pokojach, otwierać do szaf, czytać książki i t. p., słowem urzeczywistniony tam został taki ideał, o jakim marzył gienjalny Szczedryn, aby do każdego mieszkania były dwa klucze: jeden w kieszeni właściciela, a drugi do swobodnego rozporządzenia — w cyrkule.

Podróżny w Nowej Zelandji jest bezpieczniejszy niż w wielu krajach Europy np. we Włoszech, gdzie nieraz z zamkniętego kuferka potrafią wyciągnąć „ein Paar Hosen”, jak to wyraził się Heim, trapiiony widocznie jakimś bolesnym wspomnieniem z podróży po poetycznym kraju, „gdzie cytryna dojrzewa”. Podróżujący koleją w Nowej Zelandji nie ma żadnego kłopotu z ekspedjowaniem pakunków, nakleja sobie na swój pakunek odpowiedni adres, a przybywszy na miejsce, sam go sobie wyszukuje wśród wyladowanych pakunków. Listy nawet pieniądze pocztyljon rozmieszcza odpowiednio do miejscowości w otwartych skrzynkach przydrożnych, pod osadami, i każdy mieszkaniec osady sam wyjmując sobie stamtąd list do niego adresowany.

W tym błogosławionym kraju niema sporów i kłótni; policja nie nosi tam broni. Gdy na stacji wagon lub karetka są pełne, a nowy pasażer przybywa, ci, co wcześniej przybyli, nie patrzą na niego jak na wroga i zawsze jakoś miejsce jeszcze się znajduje: to się ścisną głębiej, to któryś z pasażerów weźmie na kolana dziecko lub wyrostka i wszyscy się mieszczą.—Stosunki te podziwiali nawet cywilizowani mieszkańcy Szwajcarii, gdzie panuje niezwykła solidarność społeczna i swoboda, a cóż mamy na to powiedzieć my, cośmy niedawno podawali w gazetach środek na nadużycia kolejowe, jak np. jeżdżenie biedaków pod ławkami „na gapę”: środkiem tym według naszych moralistów - socjologów byłaby mianowicie bardzo wysoka kara pieniężna, a względnie (bo to przecież biedacy!) — kryminał! U nas zawsze lekarze moralności chcą leczyć przez wycinanie wrzodów, ani im na myśl nie przyjdzie pomyśleć, że przecież wrzody mu-

szą mieć pewną przyczynę i że tylko przez usunięcie tej przyczyny, to jest przez uzdrowienie całego organizmu, wrzody te radykalnie uleczyć się dadzą — znikną same, nie trzeba ich wycinać do nieskończoności.

Ale wróćmy do odczytu Heima, do Nowej Zelandji. Ważne znaczenie hodowlane w tym kraju mają tu strzygacze owiec; wędrują oni wzdłuż wyspy z północy na południe, ku okolicom coraz zimniejszym, a zatem—coraz późniejszej strzyży i za pracę swoją zarabiają w ciągu sezonu daleko więcej, mówi Heim z westchnieniem, „niż profesor geologii na uniwersytecie Zürichskim.”

Na głównym wschodnim, suchszym obszarze hodowlanym wyspy pastwiska dla owiec, jako w kraju bezleśnym, są ogrodzone przez właścicieli drucianymi płotami; na drogach, które je przecinają, są zbudowane donki dla psów: strzegą one, by owce z jednego terytorjum nie przechodziły na drugie; psy te są perjodycznie zmieniane, jak szyldwachy.

Kwiaty na Nowej Zelandji mają wyłącznie barwę białą lub żółtą, albowiem owady tamtejsze gustują tylko w tych barwach i tylko takie kwiaty odwiedzają. Sprrowadzona tu koniczyna wtedy dopiero zaczęła się rozpowszechniać, gdy sprowadzono też trzmielę. Ciekawy jest rodzaj bardzo rozpowszechnionej tu wierzby płaczącej od jednej gałązki, przywiezionej z grobu Napoleona na wyspie św. Heleny.

Na zachodzie wyspy, gdzie są obfitsze opady (z powodu panowania wiatrów zachodnich), las pierwotny jest tak bujny, że pokrywa najstronksze stoki gór i zbocza fjordów, wąskich i długich zatok podobnych do norweskich. Od czasu do czasu, gdy drzewa lub korzenie spróchnieją, następuje nie „Bergsturz” (zwalenie się góry), jak zwykle w górach, lecz „Waldsturz”: masy starodrzewu zwalają się w przepaść lub w morze i pozostaje nagie, strone urwisko, ale nie na długo: przy niezmiernie dżdżystym klimacie i energicznym wietrzeeniu skał urwisko pokrywa się wkrótce mechami, później paprociami, wreszcie znów lasem.

Ta część wyspy jest bardzo niedostępna zarówno od strony morza, jak i od lądu: od strony morza strone, lesiste brzegi tamują dostęp, na lądzie prócz lasów tamują drogę liczne potoki, spływające do morza

z lodowców, które tutaj z powodu dżdży-
stości klimatu, rozrastają się potężnie aż
w samo sąsiedztwo morza. Potoki te, prze-
cinające pas zawarty między lodowcami
i morzem, trzeba przebywać wplaw, trzy-
mając się ogona końskiego.

Podróż morzem jest niezmiernie uciążli-
wa z powodu silnych wiatrów; podczas po-
dróży Heima z Australji do Nowej Zelan-
dji przez kilka nocy z rzędu nikt nie spał,
bo statek był tak silnie miotany, że trzeba
się było trzymać rękami i nogami, aby nie
być rzuconym, a i tak były częste wypadki
potłuczeń głowy, kolan i łokci.

Po odczycie rozwinęła się dyskusja
i przypomnieliśmy sobie dobre czasy lip-
skie, tylko że zamiast arystokratycznego
Richthofena, mówiącego „die Jerde”, mie-
liśmy przed sobą demokratycznego, nie-
zmiernie popularnego Heima (od niego
zapewne pochodzi sympatyczny wyraz
„heimlich“!), który znów mówi po swojemu:
„Volk” i „Urwałd”. Podjęliśmy kwestję
powstania fjordów nowozelandzkich i tam-
tejszych zmian linii brzegowej.

Wprawdzie fjordy są zwykle uważane za
doliny erozyjne, t. j. wyżłobione przez wo-
dę płynącą, zakonserwowane przez lodow-
ce, zalane następnie morzem, ale wobec
tego, że nieraz podobne rezultaty bywają
wywoływane przez różne przyczyny, py-
tanie o genezie fjordów nowo - zelandzkich
było na miejscu. Heim jest raczej za ero-
zyjnym powstaniem tych fjordów, nie zaś
uskokowym (wskutek zapadnięć), gdyż ku
wnętrzu lądu rozgałęziają się one, jak zwy-
kle doliny rzeczne; zresztą z powodu lasów
pierwotnych, pokrywających, jak wspo-
mniano, zbocza tych fjordów, trudno tę kwe-
stję rozstrzygnąć na pewno: nie można za-
obserwować tektoniki (układu warstw).

Co do zmian linii brzegowej, to Heim
nie zgadza się na to, co twierdzi Lenden-
feld, że wschodnie wybrzeże Nowej Ze-
landji przyrasta wskutek podnoszenia
się; Heim widzi tu wszędzie odwrotnie
— ubytek wybrzeża wskutek burzącego
działania fal oceanu. Głębokość dolin
rzecznych w dolnym biegu rzek, na któ-
rą powołuje się Lendenfeld, jako na do-
wód podnoszenia się wybrzeża (i równo-
czesnego wrznięcia się w nie rzek dla
utrzymania swego pierwotnego poziomu),
Heim skłonny jest uważać raczej właśnie
za wynik cofania się wybrzeża, niszczone-
go przez fale, przyczem dolne, płytsze czę-
ści dolin rzecznych zostały obcięte; mimo

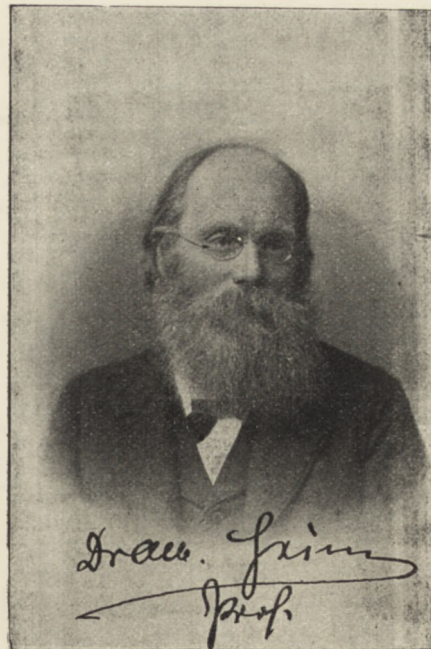
takiego obcięcia wodospady na rzekach nie
utworzyły się, gdyż proces obcinania od-
bywał się powoli, a w miarę skracania
rzek erozja się wzmacniała (spadek się
zwiększał), pogłębiała łożysko i wyrówny-
wała spadek.

Odczyt Heima skończył się bardzo póź-
no przeglądaniem fotografii, przywiezio-
nych z Nowej Zelandji.

Tak to prostych, bezpretensjonalnych środ-
ków używają w Szwajcarii dla wypowie-
dzenia wielu prawd nowych i głębokich,
podczas gdy u nas trzeba wdziwać frak,
białe rękawiczki i krawat, aby nieraz wy-
powiedzieć wiele komunałów, albo szereg
oschłych faktów, czyli tak zwanych
„ziarn”, któremi kołysz się do snu słu-
chaczy.

Nazajutrz rano otwieram okno, wycho-
dzące na ogród—pełno zieleni, kwiatów
i ptasiego świergotu; do okna zagląda-
ją róże w pełnym rozkwicie.—I takim jest ca-
łe miasto; nietylko mnóstwo tu ogrodów,
lecz również w oknach i na balkonach
wszędzie mnóstwo kwiatów.

Ogród botaniczny znakomicie urządo-
ny: rośliny posadzone grupami nie według
martwych schematów klasyfikacyjnych, lecz



Prof. Dr. A. HEIM.

według swoistych stosunków do otoczenia, warunków geograficznych. A więc np. rośliny, które dla ochrony swych soków od suszy przyjmują kształty zaokrąglone, o możliwie mniejszej powierzchni—kaktusy kulistego kształtu, wśród których zabawnie wygląda jeden pokryty siwymi włoskami: *Pilocereus senilis* (Meksyk). W grupie: „obrona od nieproszonych gości” widzimy rośliny chwytające owady; w grupie: „mimicry” — rośliny, naśladujące pokrzywy, a nie parzące. Dalej, rośliny z urządzeniami do zbierania wody; halofity, które, jak widać z porównania okazów sąsiednich, rosną przeważnie lepiej na gruncie bez soli, niż na solnym: widać, że na gruntach solnych rosną one z musu, gdy na lepszych nie mogą one wytrzymać walki o byt z innymi roślinami. Zürich leży nad dwiema rzekami: Limmatem, który tu wypływa z jeziora i Sihlem, który tu wpada; ciekawe jest porównanie obu rzek: Sihl jest mętny, Limmat klarowny, gdyż pozostawił swe męty na dnie spokojnych wód jeziora.

Wieczorem wyjeżdżamy do Luzerny.

Jesteśmy więc w samym sercu Helwecji, w klasycznej krainie Tella. Nazajutrz rano pędzimy naturalnie nad jezioro, owiane mgłą poranku, tajemniczością podaj i urokiem poezji.

Jezioro to legło u stóp Alp w formie złamanego krzyża. Alpy, obsiadany po

swym wzniesieniu, zatamowały wody, które, rozlawszy się po dolinach w części poprzecznych, w części podłużnych, wytworzyły tak oryginalną formę. Północna jego część rozlewa się wśród piaskowcowego pasa Alp. Południowy jego róg, trzonek złamany „krzyża” wrzyna się głęboko w poprzek wapiennego pasa i daje wyborne przekroje, na których widać zawiłą budowę fałdową.

Wsiadamy na statek w Luzernie i prujemy zielonawe fale, przed nami po lewej stronie wznosi się Rigi, po prawej zębaty Pilatus, kryjące swe szczyty, zwłaszcza ostatni, w obłokach. Obie te góry, słynne jako punkty obserwacyjne dla panoramy Alp, różnią się materiałem: Rigi składa się z trzeciorzędowego konglomeratu (Nagelfluh), którego otoczaki zostały przyniesione przez potoki z południowego stoku Alp—widocznie dział wodny leżał wtedy dalej na południe—Pilatus zaś i jego dalszy ciąg Bürgenstock, wkraczający w jezioro i wywołujący jego zwężenie, składa się z wapieni kredowych i łupków trzeciorzędowych (Flysch).

Wpływamy na przecięcie „krzyża”, który rozciąga swe szmaragdowe ramiona daleko na prawo i lewo. Jezioro faluje bystro i pod słońce szmaragdy jego skrzędem srebrnymi iskrami. Ponad szmaragdem jeziora ciemna zielen lasów, a dalej za nią fiolet dalekich gór, szczyty gór





BRUNNEN I MYTHEN.

dymią. Od czasu do czasu statek zbliża się do brzegu (przystani) i widać cisnące się wśród zieleni wille z „pensjonami”.

Przeplływamy u szaro-żółtawych ścian Rigi; za przystanią Vitznau kolej na Rigi, po drugiej stronie jeziora widać wspomnianą już skałę Bürgenstock. Wpływamy w najciaśniejsze zężenie jeziora, niedochodzące kilometra szerokości, spowodowane właśnie wkroczeniem półwyspu Bürgenstock za pomocą przylądka Untere Nase wysuniętego ku przylądkowi przeciwnego brzegu Obere Nase. Dalszą drogę zdaje się zamykać góra piramidalna, dymiąca jak wulkan, lecz to złudzenie; płyniemy dalej i wjeżdżamy na prawo do zatoki (stacja Buochs), gdzie uchodząca rzeczka Aa wlewa swe mętne, żółtawe wody do zielonawo - niebieskich fal jeziora. Stąd cudowny widok na południo-wschód, na zieleni gór blizkich i fiolet dalekich, które błyszczą już srebrzystym dżademem śniegów. Zaraz na brzegu, po drugiej stronie jeziora, leży Gersau, zasłonięte z północy górami, a wystawiona na fohn z południa, ciepła oaza wśród ogrodów i drzew kasztanowych. Płyniemy ku wschodowi wzdłuż trzonu „krzyża” i zbliżamy się ku jego złamaniu; po zboczach gór ścieśniających jezioro zbie-

gają tu i owdzie szare smugi—to łożyska czasowych potoków, kończące się u stóp gór i brzegów jeziora stożkami usypanymi z odtoczyska. W samym złamaniu—po lewej stronie leży miasteczko Brunnen—znajduje się obniżenie w górach, otaczających jezioro, prowadzące na północ w tym samym kierunku, co południowa część złamanego trzona „krzyża”; przez obniżenie to dostaje się do jeziora rzeka Muota, pamiętna krwawą bitwą, stoczoną nad jej brzegami między wojskami Masseny i Suworowa. Dawniej doliną dolnej Muoty płynął Reuss na północ do jezior Lowerz i Zug, zanim skierował się pod Brunnen, ku zachodowi, powodując owo złamanie „krzyża”.

Białe domki Brunnen oddzielają lustro jeziora od sinawo - czerwonego tła stromych, malowniczych szczytów, wznoszących się poza nim—to „Beide Mythen”. Szczyty te z czerwonego wapienia jurskiego i tryjasowego uwarstwionego poziomo, gdyż tworzy on fałdy leżące, czynią tym silniejsze wrażenie, iż wznoszą się niespodzianie stromo pośród łagodnych form pasa fyleshowego; są to tak zwane skały egzotyczne, podobne do naszych wapiennych Pienin, wznoszących się wśród łagodnych form karpackiego piaskowca.



KAPLICA TELLA.

Czy jednak i gienetycznie Mythen są pokrewne Pieninom? Czy są to, równie jak one, góry starsze, schwyte niby w kleszcze przez młodsze fałdowanie alpejskie? Czy też może warstwy te zostały tu przez silne fałdowanie alpejskie przerzucone z pasa wapiennego i złożone na powierzchni piaskowcowej, tak iż w głębi nie mają „korzenia”, a powierzchowny ich związek z dalej na południe leżącym pasem wapiennym został przerwany, zniszczony przez spłókanie?...—Różne są pod tym względem zdania geologów alpejskich.

Południowa część jeziora („złamanego trzonka”), wbijająca się ostrym klinem w poprzek Alp przez pas wapienny aż prawie do centralnego pasa krystalicznego, daje znakomity przekrój, na którym można poglądowo zrozumieć budowę fałdową, mianowicie po stronie lewej. Tutaj też po tarasie zbroczy biegnie tunelami kolej żelazna St. Gotardzka, a nad nią—szosa. Przed nami na prawo na dalszym planie wspaniała widok na śnieżne olbrzymy, przysłonięte lekką mgłą fioletową, uwieńczone białymi obłokami, których białość miejscami zlewa się prawie z białością śniegów—nad tym ciemny błę-

kit nieba. Bliżej, nisko, nad jeziorem Rütli, gdzie niegdyś tajemnie, pod osłoną nocy, tak długo trwającej w dolinach, miłujący wolność górale poprzysięgli zrzucić jarzmo austriackie. I któż mógłby twierdzić, że noc kryje tylko zamysły zbrodnicze?

Dojeżdżamy do stacji Tellsplatte po stronie lewej, obok nas pędzi nad jeziorem pociąg kolei St.-Gotardzkiej w stronę przeciwną. Nieco dalej „pod ścianą ze skał i pod wieńcem z borów, stoi cichości pełna i kolorów Tella kaplica”; wśród zieleni drzew błyszczą jej białe kolumny i czerwony dach. Tutaj według legendy Tell potężnym skokiem z kołysanej burzą łodzi Gessnera uratował swe życie.

Za kaplicą ściana skalna o fałdach leżących, silnie zgniecionych, prawie złamanych na zgięciu. Przed nami Flüelen, a za nim śnieżna piramida z łupków krystalicznych, widziana już, jak wspomnieliśmy, poprzednio — to Bristenstock, na przeszło 3000 m. wzniesiony.

Rezygnujemy ze zwiedzenia południowego rogu jeziora, zamulonego przez uchodzący tu Reuss; wysiadamy więc we Flüelen i idziemy do kaplicy Tella cudowną drogą nad jeziorem (Axenstrasse), biegnącą w części tunelem z wyrąbanymi

oknami na jezioro. Do kaplicy Tella, leżącej nad samym jeziorem, trzeba zejść w dół po lesistych ścieżynach skalnych. Wspomnieniami dziejowymi i poetycznym urokiem kaplica ta sprawia silne wrażenie i usposabia do dumań. Stałem na platformie, spadającej do jeziora—ta sama „fala szalona i pusta” szumiała u moich stóp, ale cienie kochanków, które niegdyś „połączyła”, znikły na zawsze, odeszły w świat innych cieniów. A choć od tamtej chwili upłynęło więcej czasu, niż „rok zaledwie”, przyszły mi na pamięć cudowne strofy Lamartine’a: „O lac l’année à peine a fini sa carrière”..., które tak wzruszająco wyrażają tę straszną boleść człowieka wobec bezlitosnej zmienności jego losów, znikomości tego, co ludzkie, w porównaniu do niezmienności przyrody — zresztą tylko pozornej, albowiem ta „niezmienna” w ciągu naszego krótkiego życia przyroda jest tylko „momentalną fotografią” chaosu zjawisk, wciąż, lubo powolnie, zmieniającego się w nieskończoności czasu. „Wszystko płynie” i „nie ma stałego prócz zmienności”.

Wracamy pod górę na Axenstrasse i idziemy nią do Vitznau u podnóża ścian skalnych, szarych, pionowych, a niekiedy nawet zwisających nad drogą. Ileż stąd najróżnorodniejszych widoków, jaka gra barw, ile motywów dla malarza!

W Vitznau siedliśmy na statek, wracający do Luzerny. Było już ciemno, lecz

księżyc się ukazał i oświetlił jezioro. Szczyt Pilatusa zapalił się iluminacją i przeniósł mi myślą w te dawne czasy, gdy na szczytach gór okolicznych płonęły ognie sygnałów powstańczych. Wkrótce zabłysły też światła Luzerny, dokąd zawinęliśmy na noc.

Nazajutrz zwiedzamy osobliwości Luzerny, a przede wszystkim słynny Gletschergarten, gdzie niby w amerykańskim „Parku Narodowym” przechowane są wiernie zjawiska natury: typowe działania lodowców — garnczki olbrzymie na powierzchni skały piaskowcowej. Są to cylindryczne zagłębienia w skale z zaokrąglonymi głazami na dnie; zagłębienia te zostały wytworzone przez erozję potoków, spływających z powierzchni dawnego lodowca w jego szczeliny, sięgające aż do skalnego dna; spadająca woda wprawiała w ruch wirowy leżące na dnie głazy i wierciła nimi zagłębienia, a same głazy zaokrąglala i wygładzała. Te ślady działania potoków lodowcowych dochowały się dotąd w świeżym stanie, gdyż do roku 1872 spoczywały pod pokryciem moreny lodowcowej i warstwy próchnicy, tworzącej tu łąkę. Przypadkowo odkryto jeden taki garnczek czyli kocioł i przedsięwzięto usunięcie pokrywy morenowej, poczym okazało się ich wiele. Jest to dzieło dawnego lodowca St. Gotardzkiego, który płynął na północ doliną Reussu, przyniósł w okolice Luzerny głazy St. Gotardzkie-



FLÜELEN.



AXENSTRASSE.

go granitu i wyłobił niemi kotły na powierzchni tutejszych skał piaskowcowych.

Postarano się też zaraz obok wyjaśnić poglądowo genezę tych kotłów: sztuczna grotta lodowa (biało malowana), na dnie jej w zagłębieniu leży kamień; puszcza strumień wody z góry, niby wodospad, strumień ten uderza w głaz ekscentrycznie i wprawia go tym sposobem w ruch wirowy.

Dalej wchodzimy do chaty góralskiej; z niej roztacza się panorama lodowca sztucznego, lecz ładząco przypominającego naturalny.

W końcu wstęp na wieżę, skąd wspaniały widok na Luzernę i Alpy; u stóp kopalnia, gdzie widać, że warstwy silnie pochylone czynią na przekroju pionowym, równoległym do rozciągu warstw, wrażenie poziomych.

Innego rodzaju wrażenie dostarcza tak zwany „Labirynt Wschodni”: lustra ustawione pod kątem. Wszedłszy tu, widzi się pięciu swoich sobowtórów, figura siedzącego muzułmanina, czyni wrażenie sześciu takich figur. Wzniośszy się windą w gó-

rę, znajdujemy się wśród wielokrotnie odbitych różnobarwnych światła i naszych sobowtórów—niby jakiś zaczarowany pałac, pełen światła i ludzi.

Gdyśmy się z tego zaczarowanego pałacu wydostali na światło dzienne, szła ulicą muzyka wojskowa i grała marsza; tłum dzieci szedł przed nią, a żołnierze maszerowali wolno, ostrożnie wymijając płaczące się u nóg dzieci, by ich nie potrącić—jakież to zwyrodnienie militaryzmu w tej Szwajcarii!

A propos—ziedzamy następnie Muzeum Wojny i Pokoju, założone przez Jana Blocha. Broni i narzędzia wojenne różnych epok, obrazy bitew i uniformów, graficzne wyjaśnienia strzałów—krzywe strzałów armatnich przenoszące górę Mont Blanc, a nawet 9000 m. wysokości. Kolekcje czaszek, porąbanych przez szable i podziurawionych przez kule, panoramy bitew. Szczególniej przejmująca grozą jest panorama wieczoru po bitwie: słońce zaszło krwawo nad nieskończoną równiną bagnistą; na wzgórzu nad rzeką, czy głębokim kanałem, gromada trupów, a kilku lu-



VITZNAU I KOLEJ NA RIGI.



AXENSTRASSE i FLÜELEN.

dzi - szakali obdziera zabitych. W górze krążą ptaki drapieżne, zwabione wonią krwi.

Bardzo to pięknie ze strony Jana Blocha, że częśćkę swych wielkich kapitałów złożył w ofierze ludzkości dla uwydatnienia okropności wojny. Może z czasem znajdzie się kapitalista, który wzniesie się jeszcze o jeden stopień wyżej na drabinie ofiar, a właściwie—częściowych zwrotów społeczeństwu, i obok Muzeum Wojny i Pokoju wzniesie Muzeum Kapitału i Pracy. Wprawdzie liczne skutki kapitału sięgają tak głęboko w rdzeń moralny istoty ludzkiej, że nie nadają się do pogładowego przedstawienia i tylko okiem duszy mogą być w całej swej grozie dostrzeżone; ale poza takimi pozostaje w każdym razie wiele rzeczy, dających się dobrze zilustrować i zdolnych niemniej silnie, niż okropności wojny, podzielać na oko widza.

Nazajutrz rano wyjeżdżamy z Luzerny koleją na południe do Hergiswyl, skąd rozpoczynamy wstęp na Pilatusa. Dzień był parny, wejście więc z początku nużące,

droga długa po zygzakach. Zatrzymujemy się na chwilę w napotkanym po drodze kurhausie Brunni na wysokości 1000 m., gdzie pijemy mleko. Lud w niemieckiej Szwajcarii nie odznacza się urodą i nigdzie może bardziej, niż w tym kraju, nie ujawnia się płytkość wyrażenia: „lud piękny, jak jego kraina”; jednakże tutaj, w Brunni, stwierdziła się zasada, że niema reguły bez wyjątku: Szwajcarka, która podawała nam mleko była tak piękna, miała w całej postaci tyle szlachetnego spokoju i wdzięku, że poeta, zoczywszy ją w promieniach słońca, wychylającego się z za gór, na tle świeżej zieleni lasów, w brylantach rosy porannej, mógłby rzeczywiście „uwierzyć, że z tęczy wyszła i z potoku piany”.

Idziemy dalej; pośród lasu napotykamy typową gospodę szwajcarską Alpgschwänd; tu pijemy znów mleko, które przypomina nam zdanie Guyau'a, że smak i aromat mogą budzić uczucie piękna.

Po przebyciu pasa lasów, zaczynamy wdrapywać się po nagich rumowiskach; nad nami zębata ściana Pilatusa, pod nami drzemie jezioro Czterech Kantonów



LUZERNA i PILATUS.

przystłonięte niebieskawym oparem. W pobliżu szczytu zaczyna staczać się rumowisko, poruszone przez nas i przez kilku turystów wdrapujących się daleko przed nami. Pojedyncze kamienie pędzą w dół w podskokach; słyszymy wołanie: „Vorsicht!—Steinhagel”.

Po czterech niespełna godzinach od wyjścia z Hergiswyl, osiągamy niższej kondygnacji szczytu, gdzie stoi hotel Klimesenhorn (1800 m.). Po zmęczeniu limonada gazowa, wogóle wyborna w Szwajcarii, wydaje się rajskim napojem.

Odpocząwszy chwilę, wstępujemy wyżej, na Pilatus Kulm; ścieżka wązka i przykra, a trzeba się często wymijać; dla mnie tym przykrzejsza, że miałem do podpierania się tylko zwykłą laskę, nie wziąłem kija alpejskiego długiego ze stalowym szpicem: turyści, przybrani w turystowski strój i zaopatrzeni we wszystkie przepisane ingredjencje, wydali mi się śmiesznie—nie lubię uniformów i pozy. Wdrapywanie się jednak po ścieżkach z rumowisk i później po lodowcu przekonało mnie, że nie można sobie jednak tak wszystkiego lekceważyć; że nie wszystkie zewnętrzne oznaki turystyczne są pozą. W jednym miejscu ścieżka prowadzi w górę przez kominowatą dziurę w skale (Kriesloch). Po jej przebyciu dochodzimy do hotelu Pilatus Kulm (przeszło 2000 m.), do którego prowadzi po drugiej stronie góry z Alpnach-Stad kolej zębata; na szczycie, tu i owdzie, leży płat ziarnistego śniegu, przytulony do zbocza skalnego — turyści biją się śnieżkami — w lipcu. Z hotelu prowadzi droga w jedną stronę na szczyt Esel (2122 m.), a w drugą na najwyższy szczyt Pilatusa—Tumlshorn (2133 m.). Z drogi tej, prowadzącej nad przepaścią, wykutej w skale, oraz z obu szczytów rozciąga się wspaniała panorama: ku południowi rozwija się śnieżny łańcuch Alp z olbrzymami Berneńskiego Oberlandu, wśród których szczególnie uderza wzrok ostra, lśniąca srebrzystą białością piramida Finsteraarhornu. Na północ, za jeziorem, które wygląda martwo jak ołowiane, rozściela się wyżyna Szwajcarska, a na zachód widnieje wał Jury, nad którym ciągnie się smuga obłoków. U stóp rozwierają się przepaści, które przy bujniejszej wyobraźni budzą na razie pewien dreszcz, ale wkrótce się do tego przywyka—nieczym jest dla duszy przepaść przeszerzeni wobec przepaści czasu.

Nasyceci pięknymi widokami, wracamy na noc do hotelu Klimesenhorn i zasypiamy kamiennym snem na sianie. Nazajutrz przed świtem słychać już dokoła jodłowanie turystów: Aa, Au—Uuu!... Wstajemy, by zobaczyć wschód słońca, lecz horyzont zachmurzony, słońce zeszło blade, mętne—nie z oczekiwanej wspaniałości.

O piątej rano już zaczęliśmy drogę powrotną, po części zstępując po zygzakach, po części skracając ją sobie zsuwaniem się wpoprzek. O 6-jej g. byliśmy już znów w gospodzie Alpgschwänd i znów wyborne mleko na werandzie, oświetlonej promieniami porannego słońca; dokoła wśród gąszczy leśnych rozlegały się dzwonki kóz.

Schodząc dalej, spotykamy licznych turystów i turystki różnej narodowości; te ostatnie co do jednej ogromnie brzydkie; mój sceptyczny towarzysz objaśnia taką selekcję w ten sposób, że ładne nie oddają się turystyce, gdyż nie potrzebują niczego szukać, owszem same są przedmiotem poszukiwań, pozostają więc w domu.

Wróciwszy do Hergiswyl, wsiadamy na kolej i jedziemy na południo-zachód dla zwiedzenia cudów Berneńskiego Oberlandu. Jest upał; Szwajcarzy porozbierali się do koszuli. Wogóle ludzie tu jeżdżą i chodzą po ulicach bardzo często w koszulach, i to ludzie—jak się to zwykło mówić—„z towarzystwa”. Taka swoboda wywołałaby u nas okropne zgorszenie. Przypominam sobie z czasów moich pierwocin literacko-geograficznych fakt następujący: Nordenskjöld, opisując w „Petermann's Mitteilungen” swą podróż na okręcie „Wega” wzdłuż północnego wybrzeża Syberji, opowiada o Czukezach, iż w jurtach swych chodzą zupełnie nago i na tej podstawie buduje hipotezę, iż muszą oni pochodzić z krajów cieplejszych. Hipoteza ta, a głównie argument, mający ją popierać, wydał mi się nadzwyczaj słabym; pisząc więc artykuł o tej podróży, zwróciłem uwagę, że w jurtach bywa gorąco, a i my, siedząc w dni upalne w pokoju, zdejmujemy często zwierecznie ubranie. Otóż pewien elegancki redaktor wykreślił mi to, dodał na marginesie rękopisu: „przecież w koszuli chyba nie siedzimy” i opatrzył tę swoją uwagę wielkim wykrzyknikiem oburzenia.

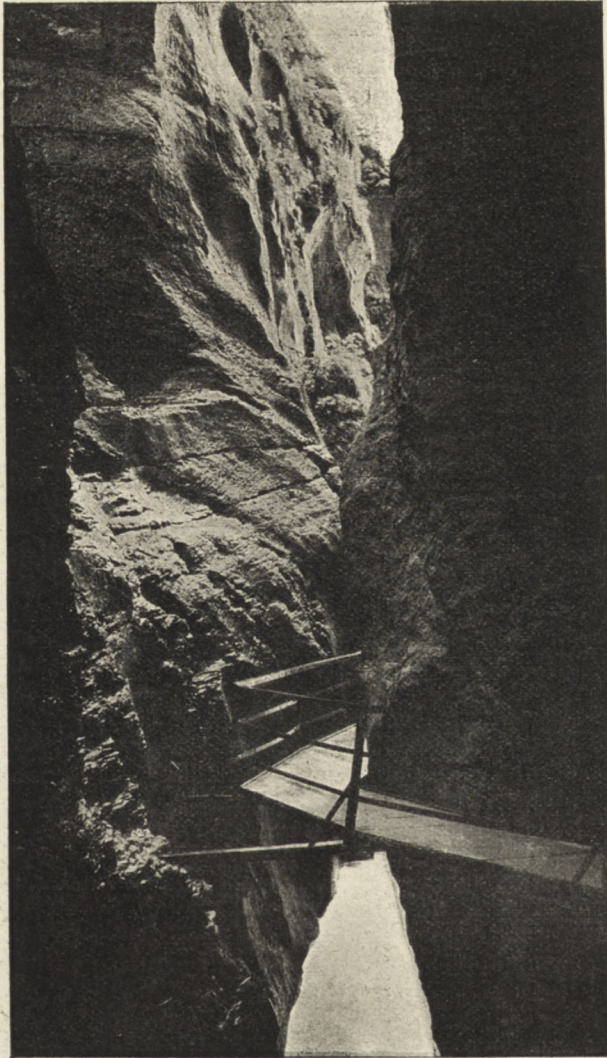
Obserwuję twarze mych towarzyszy podróży i znów utwierdzam się w przeko-



SZCZYT góry PILATUS.

naniu, że lud w niemieckiej Szwajcarii nie odznacza się pięknnością; wyraz twarzy zwrócony przeważnie nazewnątrz, mało uduchowiony; cechy indywidualne mało zróżniczkowane; zdaje się, iż te same twarze jużesmy powielekroć spotykali, (w każdym razie zastrzegam się ograniczonością czasu i pola obserwacji). Ujawnia to pewne cechy psychiczne: przewagę zmysłu zewnętrznego nad wewnętrznym, obserwacji nad analizą psychiczną—praktyczności nad uczuciowością. Cechy te dadzą się, być może, wyprowadzić a priori z warunków przyrody szwajcarskiej (co może do pewnego stopnia też zastąpić wspomnianą wyżej ograniczoność zakresu obserwacji). Niebezpieczeństwo wędrówek po górach i łatwość zbłądzenia zmusza człowieka do wyężnienia całych sił na zewnątrz, do ciągłej uwagi na najdrobniejsze szczegóły drogi (przytym szeroko stosowana poglądowa metoda nauczania działa wychowawczo w tym samym kierunku, co życie); ubóstwo, oporność przyrody zmusza człowieka do ciężkich z nią

zapasów—stąd zmysł praktyczny, utylitaryzm. I rzeczywiście: Szwajcar zapatruje się na przyrodę swego kraju, albo jako oberżysta, handlujący jej wdziękami, albo jako uczoney, który ją bada, albo jako inżynier, który stara się ją pokonać—piękno przyrody szwajcarskiej opiewali poeci obcy. Stwierdzając i wyjaśniając ten fakt, nie myślę bynajmniej nad nim abolewać, lub nan się oburzać, jak Ruskin i jego panurgowi zwolennicy. Zwłaszcza nie sądzę, aby inżynierowie szwajcarscy działalnością swą „kazili” przyrodę: obok estetyki ruskinowskiej estetyki korzenia się, estetyki wypoczynku, oszczędzania sił—estetyki reakcyjnej, jest estetyka imna: estetyka potęgi człowieka, estetyka hojności. Przyroda bez dzieł człowieka jest martwa, a nie tylko stare zamczyska i gotyckie kościoły dodają jej życia, lecz również i wielkie dzieła techniczne człowieka społecznego: wiszące mosty nad spienionymi potokami, śmiałe wiadukty nad przepaściami, drogi, wyrąbane w skałach nad otchłaniami, tunele, przebijające



WĄWÓZ AARU.

łona skalnych olbrzymów, koleje, biegnące na śnieżne wierzchołki... Inżynierowie szwajcarscy nie „skazili” swej przyrody, lecz ją upiększyli, wyciskając na niej pieczęć potęgi ducha ludzkiego.

Zbliżamy się do stacji Meiringen nad Aarem, w dolinie Hasli, u wrót Oberlandu; na południe od nas śnieżne szczyty spadają stromą, szarą ścianą ku dolinie, a po tej ścianie staczają się srebrne wstęgi wodospadów. Zatrzymujemy się tutaj dla zwiedzenia wąwozu Aaru i wodospadu Reichenbach.

Wąwóz Aaru (Aareschlucht) jest obok

wąwozu Taminy w dorzeczu szwajcarskiego Renu jednym z najbardziej typowych kanjonów—dowodów erozyjnej potęgi wód płynących. Spieniona rzeka szumi w głębi wąwozu, wypełniając całą jego szerokość; ku górze ściany wąwozu zbliżają się do siebie i prawie stykają; dostęp do tego wąwozu umożliwiono za pomocą długiej galerji, po części mostowej (most wzdłuż rzeki!), po części wykutej w skale jako nisza, a miejscami nawet jako tunel, w którym tu i owdzie wybito okna; w niektórych przejściach jest ciemno, tak iż ludzie muszą huknąć, aby się nie potracić.

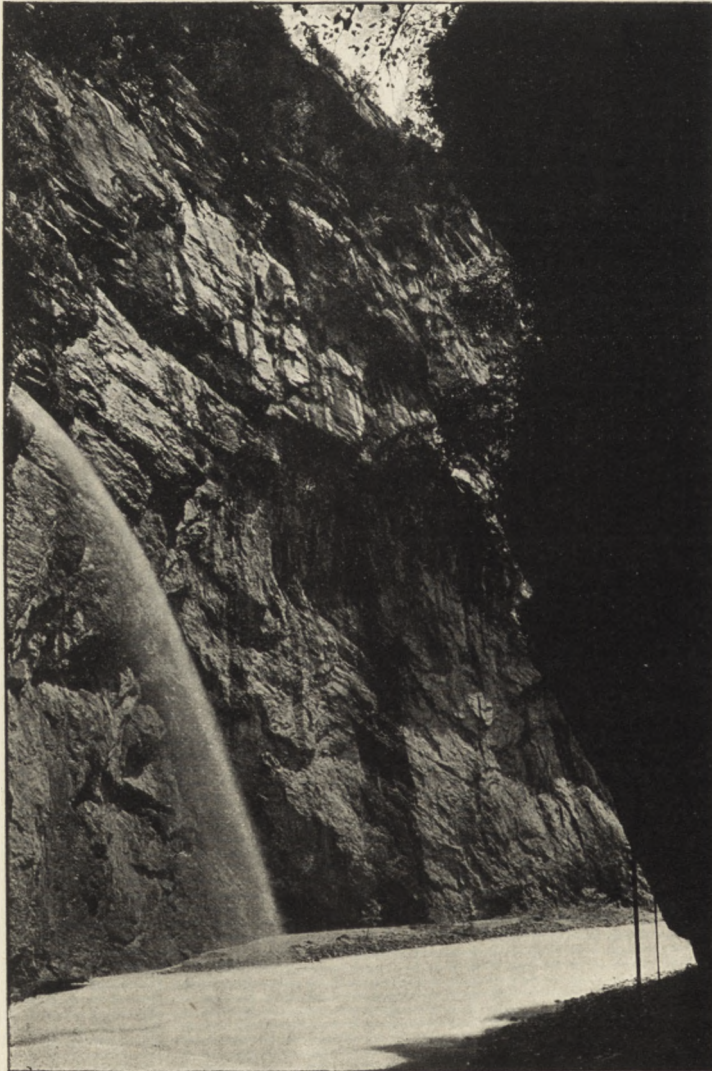
W jednym miejscu z krawędzi wąwozu rzuca się do Aaru wodospad cienką łukowatą smugą, niby z potężnego syfonu.

Nie dochodząc do wąwozu, widzimy zdala, po prawej stronie od drogi, wspaniały wodospad Reichenbach (potok, uchodzący z lewej strony do Aaru), który kotłuje się, rozbija o skały i przysłania je mgłą; może to o nim mówi z pewną licencją Słowacki: „w szwajcarskich górach jest jedna kaskada, gdzie A a r wody błękitnymi spada”. Na dalszym planie znów bo-

dzie błękit nieba ostra, srebrzysta piramida Finsteraarhornu.

Po parogodzinnym zatrzymaniu się w Meiringen jedziemy dalej cudowną doliną Hasli do Brienz, ogniska przemysłu snycerskiego, a stąd statkiem „Jungfrau” przez jezioro Brienzkie do Interlaken.

Wody jeziora zielonawe, z silnym odcieniem białawym, dla tego zapewne, że otaczają je ściany skał wapiennych, spadające często bezpośrednio w fale jeziora. Pod Giessbachem, u południowego brzegu,



WAŪÓZ AARU, wodospad SCHREIBACH.



WODOSPAD REICHENBACH (MEIRINGEN).

gdzie jest zakład wodolecznicy, przepływamy koło wspaniałego wodospadu (potok Giessbach tworzy ich kilka na swej drodze), który mieni się tęczowo i oblewa nas śród upału upragnionym wilgotnym chłodem.

Wysiadamy w Interlaken, niewielkim mieście, a jednak od przystani do miasta idziemy długo pośród gęstej alei karetek hotelowych — jest to miasto hoteli dla turystów, zwiedzających Oberland, punkt zborny bogatych gapiów z całego świata, którzy się tu zjeżdżają bądź dla odrestaurowania nadszarpniętego hulankami zdrowia, bądź dla zabicia czasu, z którym nie wiedzą co zrobić, bądź — ci najdzielniejsi,

a zarazem „najidealniejsi” — by, łażąc po górach, stwarzać sobie sztucznie prze ciwności, których im ich życie codzienne, nie daje, i tym sposobem doskonalić swe, nie-tyle „bezwzględne”, ile próżniacze „ja”. A jednak życie ludzkie, codzienne życia ludzi prawdziwych jest jednym wdzieraniem się na skalne szczyty nad ziejącemi otchłaniami.

W tak renomowanej, a więc drogiej miejscowości jak Interlaken, zatrzymywać się mogą tylko tacy, co, nie potrzebują rachować się z pieniądzem¹, t. i. próżniacy; więc my spieszmy wprost na dworzec i jedźmy dalej na południe ku lodowcom Ober-



EIGER, MÖNCH i JUNGFRAU.

landu kolejną wśród lesistych gór, doliną spienionej, mętnej Lutschiny, która osadami swemi rozdzieliła, jednolite dawniej, sierpowate jezioro na dwa bliźnie jeziora Brienz i Thun, podobnie jak Linth rozdzielił jezioro Zürich od Wallen.

Dojechawszy na południe do stacji Zweilütschinen (połączenie Lutschiny Białej i Czarnej), zostawiamy na prawo Lauterbrunnen i Białą Lutschinę, a skręcamy na wschód w górę Czarnej Lutschiny do Grindelwaldu.

Już późnym wieczorem przybyliśmy do Grindelwaldu, wsi górskiej na 1000 m. wzniesionej, posiadającej jednak wyborne urządzone hotele.

Nazajutrz o siódmej rano z werandy hotelu „Oberland”, pijąc śniadanie, patrzymy na dymiący Eiger i inne olbrzymy Oberlandu.

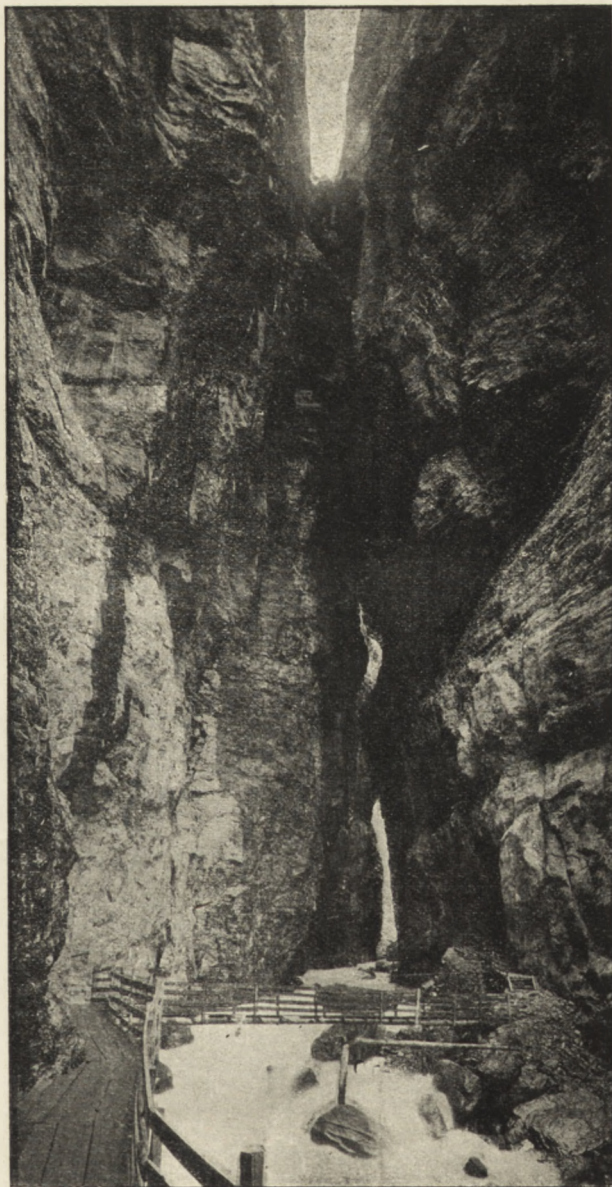
Po śniadaniu i uprowadzeniu się w specjalne, bardzo wytrzymałe buty, oraz kije alpejskie, wyprawa na lodowiec Untere Grindelwaldgletscher milowej długości, spuszczaający się najniżej z lodowców alpejskich, bo do 1080 m. nad poziomem morza, z pomiędzy szczytów Fliescherhörner i Schreckhörner.

Po drodze jakiś natrętny góral ofiaruje nam się za franka dawać objaśnienia

o lodowcach, dziękujemy temu profesorowi i idziemy dalej. Na zboczach skał, spadających stromo ku dolinie Lutschiny, dwoje dzieci bawi się spokojnie nad przepaścią, przyspiewując sobie: „Hali, hali, ha”. W dolinie szumi Lutschina, wypływająca z lodowca, jesteśmy na krawędzi głębokiego wąwozu: to Lutschineschlucht, równie jak Aareschlucht wyżłobiony przez wodę płynącą.

Zbocza doliny są oszlifowane i porysowane przez lodowiec, który dawniej sięgał dalej w dół doliny, niż dzisiejszy. Po morenie złożonej przez dawny lodowiec, postępujemy w górę doliny ku końcowi obecnego lodowca, który widnieje między Eigerem i Mettenbergiem.

Front lodowca czyni wrażenie poszarpanych gór lodowych; znajduje się w nim grota lodowa — wydrążony w lodzie i wciąż odnawiany tunel o cudownej grze barw: lazurowej, różanej i śnieżno-białej. Lód w wielu miejscach jest tak przezroczysty, że widać w jego wnętrzu uwieszone głązy, niby owady w bursztynie. Przez szczeliny w górze pada światło; woda, sącząc się i spływając po ścianach, szmerze i szumi wodospadami. Mały kamyczek, pod spadającym strumieniem, tworzy na występie ściany lodowej mły-



GRINDELWALD, wąwóz LUTSCHINY.

nek lodowcowy—żłobi garnek lub kocioł „olbrzymi”, a raczej jego miniatyrę, jakby na model, dla wyjaśnienia, już nie sztucznego, lecz naturalnego, zjawisk, widzianych w Gletschergartenie; wyjmujemy go z warsztatu dla stwierdzenia faktu, a następnie wkładamy napowrót do wyżłobionego przezeń zagłębienia—niech się bawi dzieciak dalej—Hali, hali,

ha! Na ścianach lodowych widać smugi lodu naprzemian niebieskawego i białego—budowa łupkowa, powstała wskutek ciśnienia: pasy lodu białego zawierają pęcherzyki powietrza, z pasów lodu niebieskiego powietrze jest wyciśnięte przez wodę, która powstała z lodu wskutek ciśnienia, a następnie, dostawszy się w miejsce puste i uwolniony od ciśnienia, zamar-



GRINDELWALD, BÄREGG i dolny lodowiec.

zła powtórnie. Zresztą, niektórzy wiążą istnienie tych pasów w lodowcu z pierwiastkowym uwarstwieniem firnu, które przez ruch lodowca i ciśnienie utraciło swe położenie poziome.

Po wyjściu z grotty wstępujemy od frontu na lodowiec, związani liną we trzech—tres faciunt collegium (na ten raz wzięliśmy przewodnika). Krawędź i powierzchnia lodowca silnie poszczerbione. Doliny (szpary) są niebiaskawo białe, dzielące zaś je grzbiety—czarniawe od rumowiska morenowego i błota. Na lodowcu nie doliny (szpary), lecz dzielące je grzbiety są drogami; wdzieramy się więc

po wązkich grzbiętach, dzielących szpary końcowe, postępując wciąż pod górę, w części po rumowisku, które się obsuwa za każdym stąpieniem, w części po obnażonym lodzie, w którym z powodu stromości trzeba wyrąbywać stopnie. Tak dostajemy się wreszcie na górną powierzchnię lodowca, która jest usypana rumowiskiem morenowym: lodu prawie nie widać, stąpa się po kamienistej pustyni. Im dalej jednak postępujemy po lodowcu ku jego początkowi, tym bardziej rumowisko się przeczadza, tym częściej ujawnia się powierzchnia lodowa. Tu i owdzie ukazuje się osobniony głaz na kolumnie lodowej—stół

lodowcowy; to znów cylindryczne zagłębienie w lodzie z błotem ciemnym na dnie. W pierwszym razie, jak wiadomo, lód, uchroniony lokalnie od topnienia pod głazem, utworzył kolumnę, postument; w drugim odwrotnie: mała ilość ciemnej ziemi, chłonąc ciepło promieni słonecznych i rozgrzewając się, wytopiła zagłębienie w lodzie, spadając sama na coraz niższy poziom. W wielu miejscach powierzchnia lodu, usiana drobnymi kamyczkami, wygląda jak twarz ospowata, bo każdy kamyczek leży w zagłębieniu, przez siebie wytopionym. Na-

potykamy potok, płynący na powierzchni lodowca; szumi spieniony i pędzi bystro w głębokim łożysku lodowym; trzeba je przeskoczyć, trafiając koniecznie na pewien i pewny kamień śród rumowiska przeciwnego brzegu; nie trafiwszy na ten kamień, możnaby się skąpać w lodowym i lodowatym potoku, który pod nami kotłuje się wściekle.

W pobliżu początku lodowca, gdzie on jest prawie zupełnie czysty, wolny od moren, siadamy i po uciążliwej drodze wdychamy chciwie czarodziejskie powietrze: chłod-



GRINDELWALD, dolny lodowiec.



GRINDELWALD, grotta lodowa.

ne, żywiące, wiosenne; czasem powieje miękший föhnowy podmuch z gór, które dymią; chciałoby się wchłaniać, wciągać to powietrze, nie już do dna swych płuc, lecz do końca swych stóp: działa ono jak ów eliksir, który Faustowi na Harzu dały czarownice.

Jak człowiek prosty i nierozwinięty duchowo, przywykły żyć jedynie wrażeniami zmysłów, bierze nawet ich złudzenie za rzeczywistość i wyśmiałby nas, gdybyśmy mu np. powiedzieli, że to nie słońce kryje się pod poziomem, lecz się od niego odkręca wraz z ziemią, bo nie zdołałby sobie tego wyobrazić, tak niejednen człowiek cywilizowany, oderwany od przyrody, przykuty do swych zajęć umysłowych, zmuszony zastępować każdą lepszą rzeczywistość wyobraźnią, nie jest nieraz w stanie

wejść w realną harmonję z tą rzeczywistością, z przyrodą; trudno mu zatrzymać wszystko porywający bieg myśli, wyobraźni, której utwory wciąż przeciwstawiają się rzeczywistości: człowiek taki stoi wciąż zewnątrz przyrody; nawet gdy pilnie obserwuje przyrodę, gdy widzi najdrobniejszy jej szczegół i odbywające się w niej procesy, uczucie owo zdaje się ona być od niego oddzieloną jakąś niewidzialną, lecz nieprzełamaną zasłoną. Tutaj jednak, pod ożywczym, przenikającym całym organizm technieniem lodowca, fatalna zasłona znika, człowiek uczuwa się rzeczywiście częścią natury.

Trudno nam ruszyć się z miejsca, chciałoby się tak wiecznie pozostać.

Mój towarzysz robi uwagę, iż nie potrzebujemy się ruszać z miejsca; ponieważ

bowiem lodowiec się porusza, wciąż płynie, więc siedząc na nim, zostaniemy z czasem zaniesieni w dolinę. Rzeczywiście, lodowiec jest potężnym środkiem transportu; rumowisko, które widzimy na jego grzbiecie, stoczone z gór, wędruje w dolinę, a tam porywają je potoki i unoszą dalej, i tak dzieje się przez wieki. Według Heima rzeki alpejskie, jak Linth, Reuss, Rodan wynoszą rocznie 50,000—200,000 metrów sześciennych odtoczyć z gór i osadzają w jeziorach; każda z tych rzek sprawia czynność taką samą, jakby pociąg kolei, złożony z przeszło 20 wagonów wywoził z Alp rumowisko przez cały rok dzień i noc naładowywany co godzina.

Rodan od czasów rzymskich posunął swą deltę w jezioro Gienewskie na dwa kilometry; podobnie Reuss zamula południowy róg jeziora Vierwaldstetter, zniżając równocześnie góry swego dorzecza o 1 mm. w ciągu przeszło 4-eh lat. „Wobec tych cyfr jesteśmy niezdecydowani, mówi Heim, czy powinniśmy powiedzieć, że denudacja pracuje nad zniszczeniem gór z nadzwyczajną szybkością; czy też — że pracuje ona z niedostrzegalną powolnością. Oba twierdzenia są prawdziwe: pierwsze wrażenie otrzymujemy, obserwując znaczny transport rumowiska przez rzeki; drugie, obserwując o wiele potężniejsze masy gór”.

Przed powrotem rozglądamy raz się jeszcze dokoła; góry przed nami dymią, wiatr się zerwał, szumi, głązy staczają się w przepaście szczelin lodowych; z bocznego lodowca, wiszącego na zboczu, pędzi wodospadem potok na lodowiec główny. Ściany doliny po nad lodowcem są oszlifowane co świadczy o wyższym niegdyś jego poziomie.

Wdrapujemy się po zboczu doliny na górę i wracamy inną drogą przez góry, gdzie zatrzymujemy się dla odpoczynku w hotelu Baregg; w tutejszej księdze pamiątkowej są nazwiska turystów z najrozmaitszych stron świata, nawet z Afryki południowej; polskiego nazwiska nie mogliśmy znaleźć.

W drodze powrotnej ścieżka, wijąca się między stromą ścianą skalną a przepaścią, w której głębi zalega lodowiec, jest dość uciążliwa, tymbardziej, że schwycił nas wicher i deszcz kroplisty, pod którego wpływem kamienie oślizgły; następnie nad Fiescherhörner chmury utworzyły zwarty

wał („ściana föhnu”) i powietrze stało się upałem.

Wracamy do Grindelwaldu i siadamy na kolej z powrotem do Interlaken; tu z dworca kolejowego spieszymy na przystań i kanałem żeglownym płynie na jezioro Thun, drugie z tej bliźniaczej pary jezior, z których pierwsze (Brienz) jużemy poprzednio poznali. Siedzimy naturalnie na pokładzie, mimo to jednak nie możemy korzystać z cudownego powietrza, gdyż siedzący obok mnie Niemcy, urządzają prawdziwą orgję cygarową, zatruwając mnie dymem; nawet popiół z cygar puszczają na wolę wiatrów, umieszczając go w moich oczach, zamiast w popielniczkach; przytym patrzą jeszcze z zazdrością na komin statku, buchający dymem: pragnęliby widocznie mieć równie wielkie i równie śmierdzące cygara. Na wszelkie niewygodę i trudy podróży jestem wytrwały, ale dym zarówno cygarowy jak kominowy, zatruwa mnie niestety i nieraz z nóg zwala.

Jezioro Thun po Vierwaldsteterskim nie przedstawia w normalnych warunkach wielkiego interesu, ale na szczęście niebo się zachmurzyło, zadał silny ostry wiatr przeciwny, wody zielonawe zciemniały, fale się spiętrzyły, a na ich grzbietach zakipiła srebrzysta piana — niby ciemny malachit, oprawny w srebro. Góry nadbrzeżne, ochłodzone po upale, pokryły się dymem i kłębamii białej pary. W pięknej okolicy nadbrzeżnej leży hotel Beatus—zapewne: qui tenet.

Zawijamy do przystani Spiez i stąd pędzimy co tchu na odległy dworzec kolejowy, by wsiąść na kolej, odchodzącą do Erlenbachu (w stronę jeziora Gienewskiego). Tutaj koniec kolei; nocujemy więc i naza jutrz chcemy jechać karetką do Bulle nad Saanę, gdzie możnaby wsiąść znów na kolej, idącą do Lausanny nad jeziorem Gienewskim; niestety, dowiadujemy się, że karetką kosztuje bardzo drogo, wybieramy więc drogę dalszą, okolną: jedziemy koleją na Bern i Fryburg.

Kolej pędzi po wyżynie Szwajcarskiej śród rozległego krajobrazu pól „malowanych zbożem rozmaitem”, przypominających nieco nasze krajobrazy; tylko, że na skrajach płaskiego horyzontu widać góry. Obok drobnej szachownicy pól występują większe obszary pastwisk i roślin pastewnych; z czasem zapewne te ostatnie zapanują nad uprawą zboża, wobec zbożowej

konkurencji Ameryki. Tak więc kultura amerykańska wpływa na krajobrazowy charakter odległej Szwajcarii; im bardziej doskonali się komunikacja, tym ściślej wiążą się z sobą, uzależniają od siebie, najodleglejsze zjawiska globu ziemskiego.

W tej części Szwajcarii rzeki już nie szumią: płyną, wolniej podobnie jak u nas; domy są mniej typowo szwajcarskie: dachy mają ostrzejsze i bez obciążających kamieni.

Zatrzymujemy się na kilka godzin w Bernie, zbudowanym w pętlicy, utworzonej przez Aar; tutaj na stacji wysyłam moje rzeczy napowrót frachtem do Krakowa. Jakkolwiek bowiem wziąłem w drogę rzeczy niewiele, jednakże przy wielkiej szybkości podróży, przy ciągłym przesiadaniu się z kolei na kolej, lub z kolei na statek, przyczym trzeba było nieraz piechotą przebiegać, i to szybko, znaczne odległości, nawet niewielki tłumok ciężył niezmiernie i hamował ruchliwość. Znalazszy się w mieście, zwiedzam „Muzeum Historji Naturalnej”. Wisi tu na wstępie mapa hipsometryczna, a zarazem geologiczna, Szwajcarii; niestety, wisi w cieniu i niewiele można na niej dojrzeć. Dalej widzimy olbrzymie zbiory skamieniałości ze wszystkich systemów geologicznych: olbrzymi skielec irlandzkiego Cervus Megaceros z rozłożystemi rogami; Ursus spelaeus; wypchany olbrzymi mors grenlandzki i t. d. Wiele pięknych okazów skalnych, jak olbrzymie kryształy górne ze szczelin w archaicznych skałach alpejskich; jak różne odmiany obsydjanu, szklistej skały wybuchowej, używanej przez dawnych Meksykanów i inne ludy na ostrza do narzędzi i broni, podobnie jak gdzieindziej krzemień i t. d.

Zwiedzwszy muzeum, wsiadamy na pociąg, odchodzący do Lausanny; jedziemy przez kraj coraz bardziej sfalowany, lesisty.

We Fryburgu musimy się zatrzymać, więc zwiedzamy to miasto, które tak w ostatnich czasach zasłynęło uczonością polskokatolicką. Naturalnie, musimy oświecać biedną Szwajcarię..., aby zczasem mogła się poszczycić równie wielkim procentem analfabetów, jak nasza katolicka Galicja.

Nauka, powiadają, powinna być katolicka; a więc katolicka geologja: potop zalał całą ziemię aż po szczyty najwyższych gór—Suess, który twierdzi przeciwnie, jest here-

tykiem. Katolicka astronomia: ziemia jest płaska i stoi w miejscu—dzieło Kopernik. zostało potępione przez kościół i t. d. i t. d.

Fryburg leży na samej granicy językowej: w dolnej części miasta mówią po niemiecku, w górnej po francusku. Pętlica Saany otacza Fryburg, tak samo jak pętlica Aaru Bern. Zewnętrzna strona pętlicy posiada zbocza strome, wewnętrzna — łagodne. Piękny jest most na linach, „pont suspendu” i kilka innych, łączących przeciwległe brzegi Saany. Ze szczytu wieży st. Nicolas (368 schodów, 85 m. wysokości) wspaniały widok na miasto, cisnące się głównie w pętlicy. W kościele St. Nicolas są słynne organy, zatrzymaliśmy się do wieczora, aby je usłyszeć. Tymczasem zwiedzamy najbliższe okolice: Saana zatamowana (barage), w celach elektryczności i zwrócona w bok, tworzy wspaniały wodospad, wśród brzegów kanjonowych i skał piaskowcowych poziomo uwarstwionych. Wodospad jest podzielony skałą na dwie części nierówne; biała masa wody, przelewając się i rozpryskując, tworzy piękne zjawisko tęczy; gdy powieje od niego wiatr, oblewa nas rześystym deszczem. Można przejść po nad kaskadą po moście wiszącym, który chwieje się pod stopami.

Wracamy na organy; w kościele w ławkach odbywa się kupowanie biletów na ten „koncert”; gra czyni olbrzymie wrażenie: uderza szczególniej kontrast między grzmiącymi fortissimami i niksującymi pianissimami; niekiedy zdaje się, jakby grały, dwa organy: jeden bliski—ziemski, drugi daleki—gdzieś w niebiosach; to znowu jakby następowały po sobie kolejno: gniew gromowładnego Jehowy i błagalne pienia aniołów.

Gra ta ma więc znaczenie praktyczne nawet poza dochodem ze sprzedaży biletów: pobudz ona zarówno pobożnych, jak muzyka wojskowa—żołnierzy. Za pomocą muzyki można człowieka zmienić w pożyteczne narzędzie. Doprawdy wobec tego „uczenni katoliccy” powinni się zmienić w organistów: działaliby daleko skuteczniej w zamierzonym przez siebie celu.

Zaledwie zdążyliśmy na wieczorny pociąg do Lausanny. Noc już była, gdy przejechawszy tunel, ujrzeliśmy po lewej stronie upragniony Lemany, a raczej tylko domyśliśmy się go: noc była ciemna, księżyc rzadko tylko ukazywał się pośród chmur; niebo zlewało się z jeziorem w jed-



na szarą mglistą masę, skraj horyzontu zdawał się być tuż, u bliższego brzegu jeziora; tylko tu i owdzie światła osad nadbrzeżnych, rysując kontur jeziora, rozwiewały to złudzenie.

Profesor z Lausanny, Forel poświęcił temu jezioru obszerne dzieło i stworzył nową gałąź geografji — limnologję, naukę o jeziorach. Przekonał on się, że dolina Lemanu została wyłobiona przez Rodan, a jednak, jeżeli wziąć w rachubę wielką grubość świeżych osadów dennych, to dno jeziora leży niżej poziomu morza; stąd wniosek, że po wyłobieniu musiało się ono obniżyć i to spowodowało zatamowanie rzeki, utworzenie jeziora. Podczas gdy inne jeziora szwajcarskie odznaczają się silnym odcieniem zielonawym swych wód, w Lemanie przeważa szafir, świadcząc o wielkiej czystości jego wody. Barwne jeziora szwajcarskie skłoniły uczonych, jak Tyndall i Forel do badania barw wody; Forel sporządził w tym celu skalę barw, która z pewną modyfikacją posłużyła też do badań oceanograficznych.

Z niecierpliwością oczekiwałem dnia, by ujrzeć Lemana w całej jego barwnej piękności.

Przenocowawszy w Lausannie, rano zeszliśmy do przystani (Ouchy); pogoda by-

ła cudowna — Lausanna jest najśnieźniejszym miejscem w Szwajcarji; lazurowe lustro Lemanu ginęło w dali we fioletowej mgłę, która przysłaniała przeciwległe brzegi; w pobliżu na falach jeziora unosiły się białe łabędzie, i białe jak one żagle statków. Nad tym wszystkim w przezroczej mgłę poranku zdawały się unosić duchy Rousseau, Byrona, Shelleya, Mickiewicza, Słowackiego. Siadamy na parowiec „Lausanne” i płyniemy na wschód do Chillonu. Brzegów, prócz bliżkiego z lewej strony, zielonejącego winnicami na wzgórzach, nie wiele było widać; tylko bezpośrednio koło statku widać modre fale, zresztą przed nami wszystko przysłonięte mgłą; płynęliśmy przez tę mgłę jakby na zaczarowanym statku powietrznym, a mewy płynęły z nami w zawody wśród tego samego miedjum. Przed nami pod słońce mgła światłana, za nami szafir jeziora, a dalej nieco mgła ciemna, fioletowa, na tle jej błyskawia białe skrzydła mew i białe trójkątne żagle statków. Śród tej zaczarowanej atmosfery rozlegają się nagle na statku dźwięki harfy, wiolonczeli, skrzypiec i fleatów.

Ta niepewność konturów, mglistość fioletu, nieskończoność, tajemniczość, czynią potężniejsze wrażenie, niż wyrazistość potężnych konturów brzegowych jeziora Czterech kantonów.

Za zbliżeniem się do brzegu południowego, zarysowują się nieco wyraźniej fioletowe kontury Alp, których śniegiem przypruszone szczyty giną w białych zwichrzonych obłokach.

Płyniemy wzdłuż północnych brzegów wschodniej, najcieplejszej części jeziora, zasłoniętej z północy wysokimi Alpami (pod-

czas gdy zachodnia jest zasłonięta niższą wyżyną lub Jurą); tutaj cisną się miejscowości słynne z pięknego położenia i łagodnego klimatu—szwajcarska Riviera. Przepływamy koło Vevey, Clarence (Nowa Heloiza)! przed nią bieleje cudowna willa w stylu włoskim wśród zieleni wysepki nadbrzeżnej, omywanej przez modre fale—widok böcklinowski. Dalej Montreux, najcieplejsza stacja klimatyczna Lemanu. Wsiadłszy w Chillonie, wstąpiliśmy po schodach na wspinały taras kamienny, obramowany zielenią i kwiatami; ławki pod baldachimami; usiadłszy na występie tarasu, patrzyliśmy na jezioro, a w umyśle przesuwwały się postacie Nowej Heloizy, więźnia Chillonu, Child Harolda. Tramwaj elektryczny budzi nas z marzeń, siadamy i brzegiem jeziora drogą na wysokim tarasie, wśród willi, ogrodów i winnic jedziemy do zamku Chillon; tramwaj się zatrzymuje, wysiadamy, idziemy przez park i po cienistej ścieżynie schodzimy na brzeg jeziora, gdzie fale roztrzaskują się z szumem o złomy omszonych skał i na drobnym odcoczysku; tutaj czekamy na czas zwiedzania zamku.

Na prawo odsłania się widok na Montreux, podobny do zatoki Neapolitańskiej, albowiem jezioro tworzy łukowatą zatokę, a po drugiej stronie łuku widać górę stożkową, podobną do wulkanu; na lewo widać starą basztę zamku, której stopy omywają fale. Idziemy do zamku, spuszcza się w jego ciemne lochy, z których małe okienko otwiera widok na jezioro, na lazury, słoneczny świat.—Cóżto za kontrast!—kontrast między pełnią bujnego życia i śmiercią. A jednak więzień Byrona tęsknił za tym ciemnym więzieniem, które stało się dlań „ojczyzną, świątynią”—więzień „pokochał pęta”. Tak człowiek „z ziemi wygnany”, przywykły do ciągłej pracy i walki, tęskni za nimi wśród spokoju i piękna przyrody.

Za zamkiem, o 20 minut drogi pieszo, wznosi się „Hotel Byrona”, a o drugie 20 minut—na wschodnim końcu jeziora—miasteczko Villeneuve, którego winnice wydają wyborne wino, mające własności lecznicze.

Niedaleko stąd mętny Rodan tonie w przezroczystych wodach Lemanu. Wyrazu „tonie” nie użyłem tu w znaczeniu przenośnym, zamiast „uchodzi”: zimne wody Rodanu, wlewając się do cieplejszych, a więc lżejszych wód Lemanu, toną w nich rzeczywiście i wyżłobily sobie na dnie je-

ziora łożysko, jakby na łądzie. Zresztą łożysko to mogło też powstać (lub choćby wyraźniej się zarysować) przez to, że osady rzeczne osadzają się najobficiej na brzegach prądu rzecznej, gdyż tutaj prąd wody najbardziej wolniej, wskutek tarcia o spokojne wody jeziora.

Delta Rodanu zamieniła południowo-wschodnią część dawnego daleko dłuższego jeziora w łąd; a miasto, noszące charakterystyczną nazwę Port Valais, leży zdaleka od brzegu.

Z powrotem, ku wieczorowi towarzyszyła nam na statku muzyka i śpiewy chóralne, bardzo rozpowszechnione w Szwajcarii. Wielu wybornych pływaków podpływało pod sam statek, walcząc z jego falą, a dwóch, jak to u nas się mówi, „dzielnych wiosłarzy” ścigało się łodzią ze statkiem, co przy forach na niewielkim dystansie udawało im się. W miarę zniżania się słońca ku zachodowi, jezioro i góry za nami przybierały barwę coraz ciemniej szafirową, przed nami, pod słońce — świetlana dal. Chociaż ciemniejsza smuga dzieliła teraz poziom jeziora od sklepienia nieba, jednak wydawała się jedną z chmur smużystych, a niebo zdawało się i teraz zlewać z jeziorem w jedno jasne tło, w jedno medium powietrzne; złocista smuga słońca przesnuwała przed nami jezioro, dzieląc je na dwie części—statek płynął znów, jak by w krainie czarów.

Po powrocie do Lausanny wstąpiliśmy na kolację do restauracji, gdzie zastaliśmy grono studentów, francuskich Szwajcarów — pyszne typy. Żywość i wesołość wrodzona, podsycona jeszcze winem, fenomenalna; mówili tak szybko, że zaledwie można było chwytać wyrazy, co chwila któryś siadał do fortepianu; śpiewali niezliczoną moc zabawnych piosneczek, iskrzących się dowcipami i dwuznacznikami; np. o jakiejś „Caroline qui aime la mandoline” (przyczem ostatnią sylabę się odrzuca).

Przy drugim stole siedział jakiś prowincjonalista, w rodzaju naszego „hreczkosieja” z dwiema córkami, lecz wkrótce rotowy ogień dowcipów stał się tak gęsty, że wieśniacy musieli się wycofać; wtedy to dopiero podniosła się cała burza wesołości: studenci krzyczeli, tańczyli, skakali — wreszcie uspokoił się i rozpoczął poważną dyskusję, nad kwestją: „le papa ou pas le papa?”



ZAMEK CHILLON.

Cóż to za różnica od studentów zürichskich z odczytu Heima, zawiązujących towarzystwo wstrzemięzliwości, pijących już nawet nie piwo, lecz wodę sodową i czarną kawę, otaczających z jakąś dziecinną prawie prostotą, postać równie prostego, siwowłosego Heima.

Wogóle zauważyłem, że w miarę, jak z kraju Niemców zagłębiany się w kraj Francuzów, wogóle w kraj łatyńskiego południa, znika prostota, systematyczność czystość, ale i maszynowość; wzmagają się żywość i piękność mieszkańców, ale zarazem brud i bezład; coraz częściej pojawiają się piękne kobiety, zakonnice, księża i wojskowi—a na noclegach pluskwy.

Lausanna, zbudowana na stoku piaskowcowych wzgórz Joratu, spadających ku jezioru, jak Gienna, ma ulice strome ze schodami i koleją sznurową, prowadzącą do portu Ouchy. W dzień targowy dorożek prawie niema, gdyż ulice przez całą prawie szerokość zavalone są jarzynami i owocami; zaledwie można przejść.

Wyjeżdżamy rano statkiem dalej do Gienewy. I znów ta sama cudowna podróż przez zaczarowaną, przymgloną krainę płynnych malachitów, szafirów, ametystów, mieniających się i rozplywających, a wśród nich białe żagle przesuwały się cicho, jak widma.

Po drodze stajemy na przeciwnym brzegu w Evian les Bains, na ziemi francuskiej, nie czując tego zupełnie: żadnych umartwień granicznych, ani paszportów, ani rewizji, nawet żadnych nalepiał kar-

tek na rzeczy, jak to czyniono dla formalności na granicy austro-szwajcarskiej; o wstąpieniu na nowe terytorjum dowiedzieliśmy się tylko stąd, że biła tu na zegarze 1-sza, podczas gdy na moim zegarku, nakręconym w Lausannie, było już trzy kwadranse na drugą.

Z Evian przyjemny widok na jezioro, gdyż patrząc na nie, mamy słońce z tyłu. Eleganckie damy highlifu, wraz z nieodstępnymi jezuitami, zabijają czas łowieniem na wędkę drobnych rybek; najęci chłopcy zakładają im na haczyki przynętę, a następnie zdejmują złapaną rybkę i rzucają na suchy żwir na męczarnie. Jeden jezuita stał „milszacy na stronie”, śledził z chciwością poruszanie pływaka, sam zdejmował złapaną rybkę i wkładał do czarnego worka. Ten wyraz chciwości oznaczał jednak, jak się zdaje, tylko miłość dla sztuki, gdyż, jak to widać z tutejszych fotografii, księża, zmuszeni jeść ryby w post, krzywią się niemiłosiernie.

Liczne tutejsze łodzie i dorożki są kryte baldachimami od promieni słonecznych. Miejscowość cudowna, dość odosobniona, cicha; daleko cichsza od miejscowości przeciwnego brzegu, cisnących się blisko siebie, gdzie wre zbyt ożywiony ruch kolejowy, tramwaje, karetki, samochody, rowery. Evian byłoby wyborynym miejscem wypoczynku i uzdrowienia dla ludzi pracownych lub chorych. Iluż to uczonych, pisarzy, artystów, dogorywających w pracy nad żywieniem swą krwią różnych kamie-

niczników i rentjerów, możnaby było uratować dla społeczeństwa, przeniósłszy ich tu na kilkumiesięczny odpoczynek; jakżeby społeczeństwo mogło się tym sposobem zbogacić. Ale ono czeka zwykle z przyjemnością na śmierć takich ludzi, by miało rozrywkę przy wznoszeniu im pomników. To też obecnie w Evian odpoczywają głównie tylko ludzie, zmęczeni—próżniactwem; a widok ich jest w stanie zniszczyć całkowicie kojący wpływ przyrody.

Odjeżdżamy do Gienewy, za Evian i brzeg południowy jeziora, przedtym zaparty górami, prawie pusty, zaczyna być wolniejszy i zaludniać się; pełno tu pałaców i willi, zwłaszcza w okolicach źródeł mineralnych (Evian, Thonon i t. d.).

Już wieczorem przybywamy do Gienewy. Przy wejściu do portu bije fontanna na 90 m. wysoko; wązki strumień wody spadając, skręca się w różne strony poruszany wiatrem. Dalej wysepka filozofa (Rousseau'a), co olśniony pięknnością przyrody alpejskiej, uginający się pod ciężarem przeduchowienia, obalamucony powierzchownymi relacjami podróżników o rajskim jakoby życiu ludów pierwotnych, chciał ludzkość cofnąć do stanu natury; nie pojmował, że właśnie oddalanie się od przyrody, jej ujarzmianie i poprawianie jest cechą człowieczeństwa—że nawet to tak porywające nas piękno przyrody jest tylko tym, co człowiek ze swej duszy w nią włoży: zielen łąki dla krowy jest tylko pastwiskiem, dla człowieka może się stać krainą czarów, „kędy rusałek dłoń wiosną i latem ścieli murawę, kraśnym dzierzgą kwiatem” — krainą „najpiękniejszą w świecie”.

Ponieważ nazajutrz padał deszcz, zrezygnowałem więc z wycieczki na Mont Blanc, na którym zginęło wkrótce potem dwóch turystów francuskich, zamarszy wśród zamieci śnieżnej; widziałem tylko wspaniałe reliefy Mont Blancu, nad którym autor, Etienne Sené, pracował dziesięć lat. Zresztą nie mogłem dłużej poświęcać czasu Alpom, należało poprzestać na Oberlandzie i spieszyć do Owernji; wyjechałem więc z Gienewy koleją do Ljonu po drodze, której płynął niegdyś wielki lodowiec Rodański. Dosięgał on ku zachodowi do bram dzisiejszego Ljonu, gdzie usypane przez niego nierówno moreny końcowe wytworzyły jeziorną krainę Pays de Dombes, minjaturę nasze-

go pojezierza Bałtyckiego, którym obdarzył nas znów potężniejszy jeszcze dawny lodowiec Skandynawski. Obecnie tą drogą płynie Rodan, przerywający się przez wapienną Jurę, tę „zbląkaną ku północy odnogę Alp Zachodnich”; wody jego, tak klarowne przy wyjściu z Lemanu, teraz coraz bardziej mętnieją, bieleją. Rzeka płynie głęboko wśród stromych brzegów i tworzy zygzaki, zmieniając nagle kierunek odpowiednio do zmieniających się kolejno dolin poprzecznych i podłużnych Jury; my zaś przerywamy się tunelami. W Bellegard na granicy francuskiej komora celna; całą formalnością jest przyłączenie kartki na rzeczach.

Tak więc ostatecznie pożegnaliśmy Szwajcarię, której przyroda uboga, a piękna, dziwny los zgotowała swym synom: niegdyś sprzedawali oni swą krew, a dziś sprzedają wdzięk swej matki..

Za Bellegard znów liczne tunele i przekopy w skałach wapiennych. Pędzimy prawym brzegiem Rodanu; brzeg przeciwny wysoki spada po części urwisto, po części tarasowato; na tarasach pola uprawne; tu i owdzie uderzają swą jasną zielenią winnice; po murach stacji kolejowych też pnie się winorośl. Rodan wciąż potężnieje, góry się oddalają, brzegi spłaszczaia, na rzece pojawiają się wyspy. Na polach żółte zagony zbóż są ujęte w zielone smugi winorośli. Pod Culoz góry znów przystępują do rzeki; teraz już złożone z piaskowca, swą ruinowością przypominają tu i owdzie Saską Szwajcarię.

Do wagonu wsiadają liczni dradoni francuscy—że „dradoni”, więc naturalnie końskie ogony zwisają im z głów, dodając powagi; że „francuscy”, więc naturalnie spodnie mają czerwone: u dołu spodnie są zakończone czarną skórą, co stanowi pewną formę przejściową od spodni do butów—i to formę przejściową tak pod względem morfologicznym, gdyż są do butów podobne, jak i pod względem topograficznym, gdyż przechodzą one przy samych stopach w buty rzeczywiście.

Dalej powracają znów skały wapienne: jedna dolina pod Virieu przypomina nieco Ojcowską. Rodan dawny gdzieś znikł, dojeżdżamy do Rossilon; ściany skalne spadają ku łagodniejszym zielonym tarasom bądź porośłym krzakami, bądź uprawnym; te łagodne, niższe zbocza powstały widocznie z osypisk, to też tu i ow-



Wodotrysk w porcie Gienewskim.

dzie leżą na nich głazy. Uwarstwienie skał przeważnie poziome, zwłaszcza im dalej ku zachodowi.

Za stacją Amberieu już zupełna równina—Burgundja, droga z północy na południe po zachodniej stronie Alp, jak Brama Morawska i równina Węgier po stronie wschodniej; pola z gruntem czerwonym, powstałym z rozkładu wapienia, jak to widać na małych urwiskach przydrożnych, gdzie rozkład sięga nieregularnie w głąb wapieni; ta czerwona barwa dziwnie przebiega przez ciemną zielen kukurydzy.

Przejeżdżamy jakąś strugę, płynącą śród szerokiego łożyska; to Ain, prawy dopływ Rodanu o zmiennym widocznie poziomie wód.

Za zbliżeniem się do Ljonu, pod Miribel, znów spotykamy Rodan, jako pełną imponującą córę Alp i Lemanu. Księżyc

w pełni ukazał się i odbijał w falach rzeki złocistą smugą, która biegła wraz z nami.

Dojeżdżając do Ljonu, zostaliśmy przestraszeni przez pasażerów jego drogością: że w hotelach jakoby około 5 franków od osoby za pokój. Wiadomość ta podziałała na nas, że tak powiem, antycyklonalnie, t. j., zdecydowaliśmy się nie zatrzymać w Ljonie, lecz jechać dalej; a ponieważ cele nasze były nadal różne, więc trzeba było rozlecieć się „na cztery wiatry”, a właściwie na dwa, t. j., ja nocnym pociągiem do Owernji, a mój towarzysz, którego nie nęciły wulkany — do Marsylji. Lecz ochłonawszy z pierwszego piorunującego wrażenia, postanowiliśmy jeszcze poprobować: przejść się po mieście i pytać w hotelach—dostaliśmy numer za 3 fr. na dwóch, mogliśmy więc w Ljonie zanocować. Ucieszyło nas to

bardzo nie tyle z powodu uniknięcia niewygód jazdy nocnej, bo kto chce podróżować, powinien być wytrwały, ale dlatego, że, jadąc nocą, traci się widoki okolic.

Przenocowawszy, użyliśmy paru godzin ranka, by wejść na wzgórze Fourvier, z którego obejrzeć można całe miasto. Ze szczytu wieży pięknej bazyliki widać z jednej strony góry staro-krystaliczne, odnogę wyżyny Centralno-Francuskiej: Beaujolais i Mont d'Or de Lyonnais, z drugiej Alpy z Mont Blanc'em (ale myśmy nie widzieli go, bo niebo było zamglone); u stóp—Ljon, rozciągnięty w wązkich wzdłużach rzek Saony i Rodanu.

Wzgórze Fourvier wznosi się na 360 m., szczyt bazyliki na 50 m. Kościół wspaniał: białe marmury, rzeźby, złoto, różnobarwne przyćmienie światła okien; panuje tu cisza, o którą napis uprasza zwiedzających, mimo to wolno kupować świeczki i wolno je wtykać w świeczniki, sterczące z olbrzymich tac, zakapanych woskiem.

Wstąpiwszy do restauracji, studjowaliśmy poglądowo język francuski na spisie potraw, w części zupełnie niezrozumiałym. Mój towarzysz wybierał zawsze potrawę, której znaczenia nie rozumiał, i pilnował, bym ja nie wybrał tej samej, gdyż tym sposobem zacieśniłby się krąg naszych zdobyczy lingwistycznych. Często jednak bogactwo tych zdobyczy nie było proporcjonalne do wartości—kulinarnych. Po południu wyjechaliśmy z Ljonu: mój towa-

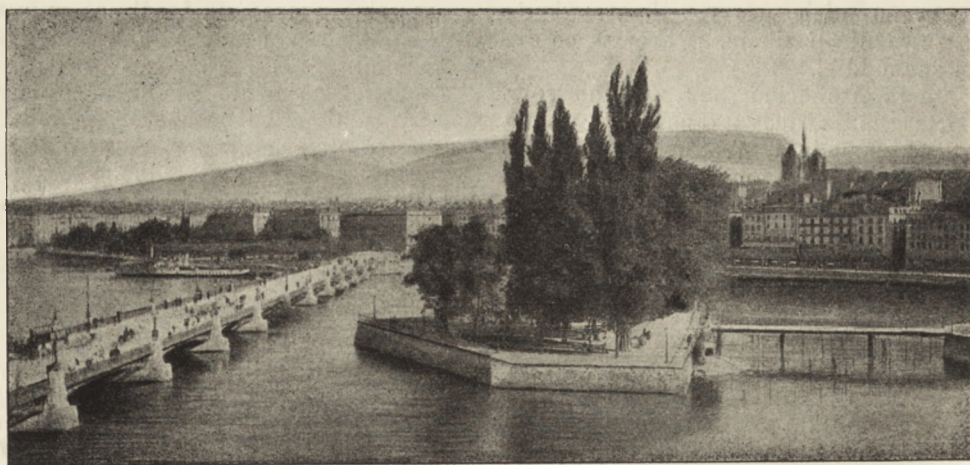
rzysz na południe do Marsylji, ja na zachód do Clermontu—do Owernji.

Jadę więc do Owernji, tej klasycznej krainy wygasłych wulkanów i wulkanicznych jezior, która od stu lat, to jest od czasu Leopolda Bucha stała się upragnionym celem dla geologów i z którą związane są ważne fazy rozwoju nauki o ziemi, mianowicie teorii wulkanizmu. Piękność krajobrazowa, owiana urokiem bohaterstwa starożytnych Gallów, przed którym ugiął się na chwilę nawet gienjusz Cezara, pociągała mnie też немало ku tej ciekawej krainie.

Owernja stanowi, jak wiadomo, zachodnią część wyżyny Francji Centralnej.

Chcąc zrozumieć jakąś krainę w jej objawach obecnych, trzeba, podobnie jak dla zrozumienia danej indywidualności ludzkiej, poznać jej przeszłość, jej rozwój, zmienne losy, którym podlegała, zanim doszła do stanu obecnego; rzucmy więc, choć przelotnie, okiem na geologiczne dzieje wyżyny Centralno-Francuskiej, a w szczególności Owernji.

W czasach zamierzchłej przeszłości geologicznej, gdy na ziemi rosły owe wielkie lasy, które zamagazynowały energię słoneczną w pokładach węgla kamiennego; to jest podczas perjodu węglowego, obecna wyżyna Centralno-Francuska była częścią wielkiego pasma gór fałdowych, łańcuchowych, podobnych do dzisiejszych Alp. Te stare Alpy kamienno-węglowe ciągnęły



Gienewa, wyspa ROUSSEAU'A.

nych grzbietami na dół—całość przypomina w planie kształt litery **W**. Doliny te wypadły mniej więcej w miejscach dawnych jezior.

Największe wzniesienie wyżyny nastąpiło na południu, tym sposobem zyskała ona pochyłość ku północy; w tym też kierunku wody otrzymały spadek, i jeziora spłynęły za pośrednictwem dwóch rzek, Loary i Allieru, łączących się ze sobą poza granicami wyżyny. Po spłynięciu wód odsłoniły się ich dna, złożone z żyznych osadów jeziornych.

Południowa część wyżyny stała się węzłem hydrograficznym Francji, urną, rozlewającą wody na cały ten kraj: ku kotlinie Paryskiej, Akwitańskiej i Langwedocko-Prowansalskiej.

Podczas fałdowania powstała jeszcze jedna ważna modyfikacja wyżyny: na grzbietach antyklinali, gdzie skorupa ziemska wskutek wygięcia uległa rozluźnieniu, otworzyły się drogi dla sił wewnętrznych; nastąpiły wybuchy, powstały wulkany, głównie bazaltowe. Areną tej działalności stał się głównie grzbiet zachodni (Auvergne) i powstały tu na grzbiecie wyżyny, na fundamencie z granitów i gnejsów, liczne wulkany stożkowe, zwane tu *puy*s, jak np. znacznie już zniszczony Cantal, a dalej na północ najwyższy ze wszystkich Mont Dore, który się lepiej utrzymał dzięki twardym skałom; wreszcie — najmłodszy Puy de Dôme. We wschodniej części wyżyny te młode skały wybuchowe występują tylko na południu u źródeł Loary w krainie Velay; tutaj koło miasta Puy wznoszą się bardzo strome skały wulkaniczne, wyglądające prawie, jak kolumny; są to zapewne dawne zakrzepłe wypełnienia kanałów wulkanicznych, odarte ze swych płaszczów popiołowych, które, jako luźniejsze, uległy łatwemu splukaniu; szczyty tych kolumn są uwieńczone kościolami, jak to często się zdarza i gdzieindziej; stąd powstało wyrażenie niemieckie: „Basalt macht fromm.”

Siły wulkaniczne przyczyniły się też do powstania tu nowych, licznych, choć drobnych, jezior, a to przez wytworzenie kotlin; są to mianowicie bądź głębokie wyrwy eksplozyjne, tak zwane maary, bądź zagłębienia powstałe przez pierścieniowe usypanie materiałów wybuchowych dokoła pewnego punktu, czyli kratery, bądź wreszcie zatamowania dolin rzecznych przez zastygłe potoki lawy. Te zastygłe potoki

tworzą po rozkruszeniu ciemne, ponure rumowiska, zwane tu *cheir*, analogiczne do islandzkich pustyń lawy, zwanych *hraun*.

Wody deszczowe znikają w tych rumowiskach, przesiąkają aż do nieprzepuszczalnego granitowego fundamentu i następnie poniżej, na krawędziach wyżyny, gdzie granit wychodzi na jaw, wypływają jako obfite źródło (np. w okolicy Clermontu).

Obfite w feldszpat produkty wybuchowe, przyczyniły się jeszcze bardziej do użyczenia dawnych osadów jeziornych w dolinach Loary i Allieru; szczególnie błogosławioną krainą jest dolina tej ostatniej rzeki (Limagne), jako leżąca bliżej ognisk wybuchowych.

Po tych przewrotach nastąpiła epoka lodowa; dawne lodowce pozostawiły ślady swego tutaj przebywania w postaci oszlifowan i rysów na skałach Cantalu i Mont Doru; na Puy de Dôme ich niema — powstał on zapewne już po epoce lodowej.

Ku tej krainie dążyłem w drugiej połowie lipca koleją z Ljonu; jechałem ku zachodowi, przerywając w części tunelami północne odgałęzienia wyżyny, — powabny, pagórkowaty kraj winnic; Loara i Allier, pełne w tym czasie mielizn, nie wyglądały imponująco. Po przebyciu Allieru zwróciłem się ku południowi, pędząc przez żyzną równinę Limagne, mając po prawej grzbiet (Auvergne), który wciąż wzrastał, a zarazem tonął w zapadającym mroku wieczornym. Była już blisko jedenasta, gdy wśród ciemności zabłysnęła światła Clermontu, a nad niemi, w bładym blasku księżyca, zarysowały się ciemne, kopułowe sylwetki wulkanów Owernji.

Nazajutrz rano wybrałem się na zwiedzenie miasta i jego okolic. Miasto obumarłe, szare, po części od bazaltu, po części od brudu. Wieśniaczki owernijskie chodzą rano po mieście z blaszankami mleka na głowach, wołają śpiewnie: „voulez-vous du lait?” Większe partje mleka są rozwożone na wózkach dwukolnych z bardzo wysokimi kołami, ciągnionych przez osły, których nieprzyjemne ryczenie, niby zachrypłej krowy, lub jakiejś nienasmarowanej maszyny drewnianej, budzi tu człowieka od wczesnego rana.

Wszedszy do restauracji, kazałem sobie podać herbaty; kelner postawił przedemną małą, kańciastą flaszeczkę z kapslem, opatrzonym dziurkami, wypełnioną jakimś żółtawym płynem, coś, jak flakonik z perfumami — i znikł. Osłupiałem, nie wiedząc,

jak się wziąć do tej „herbaty”; na szczęście kelner zjawił się powtórnie z imbrykiem, zawierającym prawdziwą herbatę; pytam o przeznaczenie zawartości flakonika. Objasnia, że to wlewa się do herbaty dla zapachu. Wącham, „pachnie” zupełnie jak perfumy, któremi w Warszawie darzą nas fryzjerzy po ostrzyżeniu, tak iż przez parę dni jesteśmy postrachem otoczenia. Dziękuję za taki aromat w herbacie!

Po śniadaniu zwiedzam źródło inkrustujące St. Alyre; wpływa ono z wapienia jeziornego, a zawierając kwas węglany, rozpuszcza wiele węglań wapnia; w miarę jak kwas węglany uchodzi w powietrze, wapień wydziela się i osadza na dnie i brzegach strumienia, tworzy naturalne mosty i grotty. W jednej grocie woda spływa po umyślnie urządzonych schodach, na których poustawiano różne przedmioty, przeznaczone do skamienienia; są to np. kwiaty, owoce, jaja, raki, gniazda ptasie, koszyki, kanczkowe reliefy. Jestto fabryka skamieniałości. Podobno na skamienienie drobnego przedmiotu potrzeba dwudziestu dni, na skamienienie wielkiego, jak np. krowy — dwu lat. Do grotty tej przywiązane jest podanie, że skamieniała w niej niegdyś para zakochanych.

Wody tego źródła wlewają się do rzeczki Tirtaine, która jak inne rzeczki, płynące tu do Allieru, używana jest na sztuczne nawadnianie, gdyż Limagne, otoczona zewsząd prawie górami, otrzymuje bardzo mało deszczu (tylko około 500 mm. rocznie).

Resztę dnia zajęło mi przygotowanie się do wycieczki na Puy de Dôme, pisanie listów i włóczęga po mieście.

Trotuary tutejsze mało są używano do chodzenia, nie zasługują na nazwę „chodników”: właściciele sklepów stawiają tu sobie krzesła, na których odpoczywają, otrzepują zakurzone rzeczy, palą sobie kawę w wielkich, kulistych, obracających się piecach i t. d. Naturalnie, że wystawy restauracji i kawiarni zajmują też całe trotuary; tutaj odbywają się tingel-tangle—jedyne prawie oznaki życia wśród obumarłego miasta; wieczorem, około jedenastej, rozlegają się one dalekim echem wśród pustych ulic.

Clermont ma bardzo piękne położenie w zatokowatym zagłębieniu, którym żywna równina Limagne wrzyna się w pokryte winnicami zbocza wyżyny Owernji;

zagłębienie to ma kształt półkolisty; na południu ogranicza je wybiegająca z wyżyny, niby przylądek, bazaltowa platforma Giergowji; na zachodzie stromy, granitowy postument właściwej wyżyny, na której grzbiecie wznosi się liczne puys, a między nimi dominuje w środku Puy de Dôme; północną granicę stanowi pokryty winnicami Puy de Champurgues. Na wschód rozciąga się rozległa równia Limagne, ograniczona w dali górami Forez.

Chcąc ile możności oszczędzić sobie czasu w wycieczkach, udałem się drugiego dnia rano na Place Jaude nr. 4 do biura „Sindicat de Clermont et de l’Auvergne”, gdzie niezmiernie uprzejmi urzędnicy udzielają wszelkich objaśnień praktycznych, dotyczących się wycieczek po Owernji. Biret-bilet do karetki, która dochodzi do stóp, wulkanu Puy de Dôme, wznoszącego się z grzbietu Col de Ceyssat. Dla lepszego widoku zajmuję miejsce na wierzchu karetki; furman w czarnym spencerze z czerwonymi rabatami, jakby ułan, ma na głowie cylinder, a właściwie stożek ścięty może przez naśladownictwo form wulkanicznych Owernji. Droga biegnie po czarniawej szosie między czarniawymi domami, tonącymi wśród zieleni sadów i winnic, ogrodzonych czarniawymi murami. Wjeżdżamy w „góry”. Deszcz zaczyna padać coraz rzęsiściej, dokuczając tym zwłaszcza, którzy zapragnęli szerszych widoków; jedziemy doliną potoku, wspinając się coraz wyżej na grzbiet wyżyny. Potok, wezbrany od deszczu, szumi, otaczając czarne złomy skał białymi pianami; czyni to żalobne wrażenie; żalobnie też wyglądają i domy, z rzadka tu napotymane, zbudowane z czarnych bloków bazaltu, spojonych białym cementem.

Dojechawszy do stóp wulkanu, wznoszącego się stąd o 600 m. wyżej, schodzimy z karetki i zaczynamy wstępować na górę, jak zwykle, zygzakami, które zresztą od czasu do czasu staramy się sobie skracać poprzecznie. Szczyt Puy de Dôme i inni bracia puys kryją się w chmurach, niby w dymie. Gdyśmy doszli do szczytu, deszcz ustał i niebo przetarło się nieco, ale tylko w górze. Niżej, na wschodzie, Clermont i cała Limagne giną w białej mgłę, niby w kłębach dymu armatniego. U stóp wulkanu widać nieco wyżynę, pokrajaną szachownicą pól zielonych, żółtawych, cynamonowych (kolor zoranego gruntu). Z pośród tej szachownicy, na południe i na pół-



Puy de Dôme.

noc, wznoszą się szeregiem bracia pnyś; u samych stóp widnieje, dobrze jeszcze utrzymany, krater popiołowy, Nid de Poule, cały prawie porośły trawą, tylko gdzieś niedzie obnażony (płaty czarniawe). Na południo-wschód stąd widać Gieorgowję, skałę płaską o stromych zboczach, niby piedestał pomnika — i rzeczywiście, jest to w znaczeniu dziejowym pjedestał pomnika wodza Gallów, Vercyngietoryksa, którego posąg kamienieje teraz właśnie, oblewany łzami ojczystego strumienia St. Alyre.

Na szczycie, gdzie stoimy, dmie wicher tak szalony, że już nie o utratę kapelusza, ale i głowy można się obawiać: trzeba być silnym w karku, aby wiatr nie zwał z niego głowy. Wartoby tutaj urządzić sanatorium dla ludzi o słabym karku, zginającym się za lada powiewem — tu nabrałby może nieco sztywności.

Szczyt Puy de Dôme, na 1470 m. wysokości, zasłynął w historii nauki: tutaj w 1648 r. Perier, na propozycję Pascala, wykonał pierwszą obserwację z barometrem, stwierdzającą ideę Toricellego; obecnie ponad ruinami świątyni Merkurego, która była niegdyś celem pielgrzymek — Częstochową galijską, wznosi się tu obserwatorium meteorologiczne.

Zeszedszy z góry, widzieliśmy pasące się na kamienistych nieużytkach wyżyny stada owiec czarnych i białych; pasterze ich chodzą dla kamienistości gruntu, podobnie, jak u nas w Świętokrzyskim, w drewnianych chodakach i dla skrócenia sobie nudnego czasu, zajmują się robieniem pończoch, jak to zwykle bywa u pasterzy owiec.

Powróciwszy już wieczorem do hotelu, spałem tak twardo, jakbym ze dwa lata przesiedział w grocie St. Alyre, w towarzystwie Vercyngietoryksa.

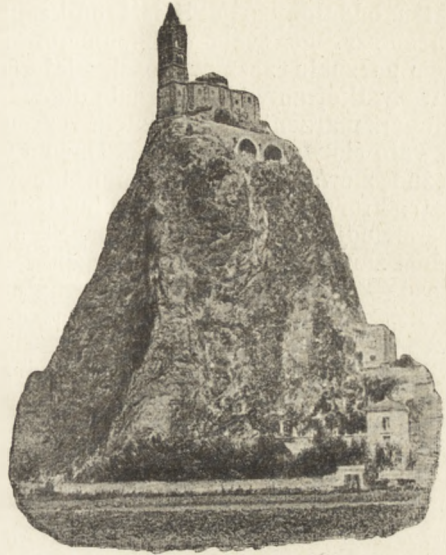
Na trzeci dzień rano przedsięwziąłem piechotą wycieczkę na Gieorgowję, która, jak wspomnieliśmy, ogranicza z południa cyrkową zatokę Clermontu; jest to jeden z największych pomników dziejowych Francji.

Wydostawszy się z miasta, szedłem ku południo-wschodowi wśród ogrodów, winnic i łąk, drogami naturalnie czarnymi. Do przesypywania kamieni na szosach używają tu innych szpadli, niż u nas: żelazo nie jest osadzone na przedłużeniu trzonka, lecz schodowato. Ogrody i winnice są otoczone płotami z bloków bazaltowych; wśród winnic tu i owdzie sterczą czarne skały. Na drogach snują się wieśniaczki z blaszankami mleka lub koszami jarzyn na głó-

wach. Ubrania kobiet są ciemne: szare, ciemno-granatowe, lub czarne. Czasami napotykam pasterza owiec z psami, to znów mignie na koniu kawalerzysta francuski, naturalnie w spodniach czerwonych. Konie pociągowe, bez różnicy płci, chodzą tu w słomianych kapeluszach damskich, przez które sterczą nagie uszy; jest to więc zwyczaj odwrotny, niż w Szwajcarii, gdzie znów same uszy ubrane są w różnokolorowe futerały. Woły owernjackie, zaprzęgane tu do wozów, chodzą znów w woalkach (z powodu much).

Niekiedy przejeżdżają powozy arystokracji miejscowej, w nich, jak zwykle, widzi się często księży, te ofiary „prześladowane” obecnie przez „despotyzm” rządu francuskiego, który tamuje ich zamiłowanie „wolności” — wyzysku nieletnich i fabrykacji likierów; nie wyglądają oni jednak jakoś na ofiary; podobni są do naszych; typ międzynarodowy — okrągli rumiani, zadowoleni—kto z Bogiem, to Bóg z nim!

Za Romagnat rozpoczynają się stoki Giergowji; na dolnych zboczach rosną winnice i orzechy włoskie na gruncie gliniastym, wśród którego, obok drobnych głazów czarnych, bazaltowych, trafiają się białe wapienne; jest to wapień słodkowodny, jeziorny, leżący w podstawie bazaltów Giergowji. Wyżej roślinność drzewna nędziej, występują akacje, tarnina, osty, macierzanka—pastwisko. Tu i owdzie poletka kartofli. W miarę wstępowania na górę, skały bazaltowe coraz częściej wysterzczają z pod powłoki roślinnej. Wąwozów jednak niema i nie widać zetknięcia bazarów z wapieniem. Wreszcie wznosi się przede mną strome wejście na krawędź która spada czarnymi skałami, jak mury zrujnowanej warowni. Wdrapawszy się na krawędź, staję na płaszczyźnie tarasu niższego, a zaraz dalej łatwe już wejście na płaszczyznę tarasu wyższego, górnego, który sięga 800 m. wysokości bezwzględnej. Płaszczyzna to rozległa, około 1½ km. długo, przeszło pół km. szeroka. Miała tu więc dość miejsca kawalerja galijska, by uderzyć na wdzierające się legiony rzymskie i zepchnąć je z wyżyny. I tutaj jeszcze, na tym górnym tarasie, znajdują się poletka kartofli i żyta; grunt brunatny, z rozkładu bazaltów pochodzący, często zeschły w twarde bryły. Głazy bazaltowe, zebrane z pól, tworzą tu wielkie kupy rumowisk.



Le Rocher d'Aiguille.

Po wczorajszym dżdżu pogoda; na czystym błękitie unosi się skowronek, z nieskończonych przestworów idzie lekki powiew, dokoła cisza pustkowie. Przede mną, ku północo-zachodowi, w łukowatym zagłębieniu wyżyny, widnieją wieże Clermont, u stóp leży Romagnat, a na lewo wznosi się okrągła baszta na bazaltowej skale—to szczątka zamku Mont Rognon.

Na północnej stronie wyżyny zbudowano bazaltowy cokół z trzema bazaltowymi słupami, — tu miał być umieszczony posąg Vercyngietoryksa. Napis brzmi:

Gergovia
In his locis dux Arvernorum
Vercingetorix
Caesarem invadentem profligavit.

Stanąłem tu na tej krawędzi wyżyny—gdzie niegdyś wrzał bój zacięty—teraz ci sza, tylko wysoko grają skowronki, a dokoła koniki polne. I stanęła mi żywo w wyobraźni ta odległa chwila, pełna wrzawy wojennej, gdy surowe muskularne postacie Gallów zwarły się z żelaznymi legionami rzymskimi w tytanicznych zapasach. Zdało mi się, że słyszę, jak ponad tą wrzawą rozbrzmiewa piorunowy głos Vercyngietoryksa i widzę, jak połyskuje jego miecz płomienny. I stałem tak długo samotny wśród nieprzejrzanego przestworu, wśród potoków światła słonecznego, wśród upajających powiewów

wiatru, oddalony o setki mil od kraju, od wrażeń szarego życia codziennego. Straciłem poczucie rzeczywistości, zdało mi się że wszystko, co widzę, co mię otacza, jest sennym marzeniem; poczucie czasu też zdawało się we mnie zanikać. Dawne walki orężne zlewały się z nowymi, ideowymi; wiatr, który mię owiewał, śpiewał mi jakieś melodie mistyczne, w których odczuwałem zarazem i jakąś zamierzłą przeszłość — dzieciństwo ludzkości, natury — i jakąś niepochwytą, niepojętą, daleką przyszłość — nadczłowieczeństwa.

Słońce już się znacznie niższyło, gdy mi się otrząsnął z zadumy, by pośpieszyć z powrotem.

Schodząc z wyżyny inną nieco drogą, napotkałem pod Romagnat kopalnię wapienia: długi, niski, błotnisty, ciemny tunel prowadzi do wnętrza tego wapiennego fundamentu Giergowji. Przy bladym świetle latarki górniczej widać tu pośród wapienia dwie cienkie, poziome żyły bazaltu; widocznie bazalt wlewał się tu do jeziora, w którym osadzał się wapień; śladów metamorfizmu nie udało mi się dostrzec na wapieniu.

Już pod wieczór wróciłem tą samą drogą do Clermontu. a obliczywszy się, że na dalsze wycieczki do ciekawej, południowej części Owernji nie wystarczy mi już czasu, wyjechałem nazajutrz z powrotem do Ljonu, aby w dół Rodanu przerzucić się na Rivierę — z dziedziny Plutona w dziedzinę Neptuna — nad upragnioną „Thalase”.

Do Ljonu przyjechałem w nocy, a już o świcie pędziłem „rapidem” na południe do Marsylji. Znowu powróciłem na dno tego morza, które oblewało Alpy po zewnętrznej stronie ich łuku; lecz tutaj, w dolinie dolnego Rodanu utrzymało się ono najdłużej, bo aż do końca trzeciorzędu, tworząc niby długi fjord, sięgający z południa na północ prawie do bram dzisiejszego Ljonu. Rodan, party tutaj przez dopływy alpejskie, podsunął się pod same granity wyżyny Centralno-Francuskiej, a nawet zarywa je nieco tu i owdzie, tworząc prądowny, podobnie jak Dunaj w granicach wyżyny Czeskiej.

To dziwne zjawisko należy pojmować w ten sposób, że każda z tych rzek płynęła niegdyś na wyższym poziomie, na warstwach, które po części przekraczały poza krawędź granitową; rzeka, wrzynając się w młodsze, górne warstwy, sięgnęła tu i owdzie do podłoża granitowego

i zagłębiła się w nie, odcięła jego kawałki, podczas gdy górne młodsze warstwy zostały spłóskane i odsłoniły granitowe podłoże.

Pędzimy wzdłuż lewego brzegu Rodanu, gdzie więcej przestrzeni; bystre fale rzeki zaczynają rumienić się blaskami świtu. Po drugiej stronie Rodanu widać krawędź wyżyny Centralnej, ale i po lewej, naszej stronie, poniżej Valence, między ujściami Izery i Dromy, drogę zaczynającą ścieśniać najdalsze, wapienne odgałęzienia Alp Zachodnich, z poza których wychyla się złota kula słońca.

„Rapid” pędzi jak błyskawica; pęd ten daje mi złudzenie skrzydeł — tych daremnych pragnień człowieka; obrazy zdają się zlewać ze sobą, jak w thaumatropie, zwłaszcza że są białe i do siebie podobne. Przelatują przedemną to ściany gór jak mury olbrzymów, to rzeczywiste mury starych zamków, zrosłych w jedną całość ze skałami, służącymi im za piedestał. Białe zamki i białe miasta na białych skałach — cóż to za kontrast z ciemnymi skałami zamkami i miastami Owernji! Przebywamy rzeki, w których niem wody, tylko odczysko. Jesteśmy widocznie już w obszarze śródziemnomorskim z wybitnie suchym latem, wapienną naturą skał i śladami starożytnej kultury. Dawność kultury огоłociła góry z lasów, a to wraz z podziałem roku na porę dżdżystą i suchą sprządza wielką zmienność stanu wód w rzekach, oraz energiczne spłókiwanie: góry pozbawione lasów, utraciły tu ziemię rodzajną i sterczą białe jak skielety. Wodę, która szybko spływa lub znika w szczelinach wapienia, trzeba przechowywać, w cysternach; niekiedy tylko woda, która znikła w szczelinach, zbiera się w podziemnych wodozbiornach i wybucha jako niezmiernie obfite i niezmiernie ważne dla okolicy źródło.

Pędzimy około białego Avignonu, bo gatego w zabytki przeszłości. Przemieszkiwał tu, jak wiadomo, *samotnik*, wyprowadzony z Włoch. Często przy takiej procedurze pozostaje w organizmie głowa, z której samotnik napowrót odrasta; w danym razie pozostały w organizmie włoskim liczne ogony, z których znów wyrosła całość i dawna symbioza trwa dotąd, wzmocniona ostatnią fazą reakcyjną. — Żałujemy że nie możemy tu się zatrzymać, nie tyle dla tych zabytków, ile dla słynnego z obfitości okolicznego źródła Vaucluse, czczo-

nego już w starożytności, a następnie opiewanego przez Petrarę. Śródziemnomorskie południe ujawnia się już we florze: widać, podobne do wierzb, szare drzewa oliwne, oraz ciemne, smukłe cyprysy, posadzone nieprzenikloną ścianą dla ochrony tych okolic od gwałtownego Mistralu, który tu niekiedy spada zimną kaskadą z wyniosłej krawędzi Sewennów. Przejeżdżamy znaczny dopływ Rodanu, Durance; lecz nawet i ta rzeka płynie teraz wąską strugą wśród szerokich pasów odtoczenia, a długość mostu jest z pięć razy większa od szerokości łożyska: dowód to wielkiej zmienności poziomu wód rzecznych.

Dalej rozciąga się, usiana głazami, smagana przez Mistral równina Crau, „francuska Sahara”, gabinet mineralogiczny skał alpejskich, nagromadzonych niegdyś przez Durance, a według starożytnego podania — rozsypanych przez Melkarta (Herkulesa), pogromcę Ligurów.

Wjeżdżamy w ciekawą krainę gór Prowancji, należąca zewnętrznie, orograficznie do systematu Alp, ale wewnętrznie, genetycznie złożoną z kilku systematów, różnych co do budowy (tektoniki), oraz czasu powstania. W zachodniej i północnej części kraju występują góry wapienne (kredowe i jurajskie), starsze od Alp, o rozciągu równoleżnikowym, przypierające poprzecznie do głównie południkowo ciągnących się Alp Zachodnich. We wschodniej części kraju (na wschód Tulonu) są one oddzielone od morza jeszcze starszymi górami, masami starokrystalicznymi z wylewami porfiru: góry Maures i Estérel, „kawałek Korsyki na lądzie Prowancji”, a właściwie, jak i Korsyka — kawałek tej wielkiej masy krystalicznej, Tyrrenidy, która się zapadła, pograżyła w fale morskie. O nią to sparły się na swym południowym końcu Alpy Zachodnie (Alpy Morskie) i za ujściem Varu zgięły się, skrzyły się na wschód, przechodząc w systemat Apeniński. Ale tej przeszko, tej tamy krystalicznej nie ma już obecnie, zapadła się ona w wielką głębiny zatoki Gienueńskiej, pozostawiając tylko skutek swego dawnego istnienia w zaznaczonym wyżej skrzyśnięciu Alp Morskich ku wschodowi. Ta kraina bezpłodnych nagich skał, wkraczając na południe w morze, tworzy esowate wybrzeże, obfite w zatoki, odd Marsylii do Spezji. Wybrzeże to było też od wieków sied-

liskiem przedsiębiorczych żeglarzy: już w starożytności osiedlili się tu koloniści greccy i założyli kwitnącą Massilję, stąd Pytheas pierwszy poznał brytańską północ Europy. W wiekach średnich żeglarze gienueńscy, jak nowi Argonauci, odwiedzali brzegi Euxinu; tutaj urodził się Kolumb. Ta sama siła — mówi Hehn — która parła niegdyś odkrywcę Nowego Świata na bezmiar oceanu, skłoniła w nowszych czasach jego ziomek, Garibaldię, by na dwóch statkach z garstką ochotników puścić się na zawojowanie królestwa i obalenie tronu.

Jesteśmy w zachodniej części Prowancji i zbliżamy się do Marsylii: stacja Miramas, kraina skalista, wapienna, naga, parę tuneli, parę głębokich przekopów; wreszcie przez luki w ścieśniających drogę białych skalach dostrzegamy upragnioną „Thalassę” — modre lustro morza Śródziemnego, ginące w świetlanej, mglistej dali. — Starożytni koloniści greccy znaleźli tu więc żywe wspomnienia swej ojczyzny: białe skały i lazuruwe morze. Dalej jedziemy po części bezpośrednio między ścianami skalnymi i morzem, które błyszczy w głębi, po części dzieli nas od niego pas plantacji szaro-zielonych oliwek, wśród których tu i owdzie wiją się wstęgi dróg białe, jak śnieg. Na samym brzegu widać szachownicę sadzawek — to saliny, w których pod wpływem suchego klimatu i palących promieni słońca osadza się sól z bardzo słonych wód morza Śródziemnego.

Dojeżdżamy do Marsylii, miasta malowniczo rozłożonego po wschodniej stronie łukowatej zatoki, ale niesłychanie brudnego. Na ulicach śmiecie, jak u nas na najgorszych podwórzach, rozgrzebywane przez kury i unoszone przez silniejsze podmuchy wiatru; kurz dławi w gardle, zasypuje oczy i układa się świeżą, w części organiczną, warstwą na tym podłożu z wapienia i pyłu węglowego, którym uinkrustował nas „rapid”. Uskuteczniwszy w hotelu denudację tych wszystkich osadów, aż do pierwotnego swego fundamentu, wychodzę na ulicę. Marsylja składa się głównie z jadłodajni i zakładów fryzjerskich, ale bo też Marsyljczycy i Marsyljanki odznaczają się niezwykle bujnym, żywiołowym uwłosieniem. Zakłady fryzjerskie są oddzielne dla mężczyzn i dla dam; widocznie Marsyljanki są bardzo wstydlive (choć o ich imien-

niczce—muzie niemożna dziś tego powiedzieć). Konie chodzą tu już stale w damskich kapelusikach, przez które uszy sterczą swobodnie na wylot; odwrotnie więc, niż w Szwajcarii, gdzie uszy są znów pokrywane różnobarwnymi futerałami. Widocznie ludzkość i w tym względzie daleką jest od prawdy absolutnej—co ma być pokryte, a co odkryte: wszystko zależy od zwyczaju, mody; ponieważ zaś moda jest bardzo zmienna, to któż może przewidzieć, jakie jeszcze niespodzianki kryje nam ona w przyszłości?...

Zresztą damskie, a raczej końskie, kapelusiki są w Marsylii modą nie tak znów zupełnie pozbawioną wszelkiej racjonalnej podstawy, bo oto widzimy też dorożki z parasolami, a okna z żaluzjami, prawie zawsze zamkniętymi — wszystko to skutki słońca południowego.

Schodzę w dół ku morzu, do portu, gdzie stoją wielkie oceaniczne parowce, a jeden z nich „Laos”, przybyły aż z Indochin, jest obsługiwany przez drobny ludek Anamitów. Stanąwszy na potężnej tamie portowej, dzielącej port od otwartego morza, wpatruję się cheiwie w słone fale, roztrzaskujące się o olbrzymie kostkowe głazy, rozsypane u stóp tamy; wsłuchuję się w ten tajemniczy, rytmiczny szum, zdający się być echem przedwiekowego chaosu. Zapuszczam wzrok w nieskończoną dal, gdzie odpływające statki żaglowe i parowce maleją i znikają w lazurowej otchłani. I znów jak na Giergovji opanowuje mnie marzenie o tym, „gdy nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży”. Jak w Grindelwaldzie od rzeźwiącego widoku lodowca, tak tutaj od widoku szumiącego nieskończonego morza trudno się oderwać. Lecz gdy ostry, rzeźwiący powiew lodowca budzi energję, łagodny miękki powiew południowego morza owija duszę tęsknotą...

Nazajutrz rano wyjeżdżam koleją do Nicy. Na dworcu w Marsylii uderzają mnie swojsko napisy, ostrzegające przed złodziejami — od napisów tych odwykłem już w Szwajcarii. Mnóstwo natrętów bez zajęcia ofiaruje swe usługi; są też już zebracy. Południe ma cechy wspólne ze Wschodem.

Znów jedziemy przez malowniczą krajinę białych skał wapiennych; na starasowanych zboczach plantacje drzew oliwnych; czasem zabłyśnie z prawej strony zwierciadło morza. Przy drodze sterczy masa

tablic z ogłoszeniami wód mineralnych, zwłaszcza Vichy i Hunyady Janos; nie pojmuję, po co tutejszym mieszkańcom te ostatnie, bo jakkolwiek to napój wielce smakowity i — rozweselający, to jednak Prowansalczyki mają równie smaczny blisko — wodę morską.

Stacja Ciotat—śród białych skał ukazuje się cudowny szafir i fiolet morza, obramowany na wybrzeżu białą wstęgą spienionych fal. Dalej stacja Tulon, gdzie przypiera do morza łupkowe (a dalej na wschód gnejsowe) wybrzeże gór Maures. W Tulonie żegnamy się na chwilę z morzem, kolej okrąża od północy góry Maures wzdłuż zagłębienia, wypełnionego przez czerwony piaskowiec, powstały ze zniszczenia gór tych przez fale dawnego morza. Wzdłuż tego zagłębienia płynie rzeka Argens, uchodząca do morza dalej na wschód pod Frejus i stanowiąca drogę do wnętrza Prowancji. Barwa krajobrazu zmienia się, grunt i skały są wszędzie czerwone. Szaro-zielone oliwki na tym gruncie czerwonym, przypominają nieco nasze wierzby na ciemno-żółtej, wilgotnej madzie wiślanej.

Przebywamy rzekę Argens, oddzielającą tu góry Maures od gór Esterel. Stacja Frejus nad morzem, brama do wnętrza kraju, znana już za czasów Juljusza Cezara (Forum Julii). Palmy karłatki, ściana cyprysów, a za nią znów widok na morze, wzdłuż którego jedziemy teraz u południowych stóp porfirowych gór Esterel. Stacja St. Raphael: śród szafiru morza czerwona skalista wysepka, a dalej szereg zatok łukowatych, ujętych w czerwone przylądki; ukazują się one w przerwach między głębokimi przekopami kolejowymi, niby okna, skąd oko czerpie szafir, a płuca—świeże technienie morza.— Jest to słynne „wybrzeże lazurowe”, cudowna i dobroczynna Riviera: i utwór artystyczny, którym zachwycają się malarze, i cieplarnia, w której palmy założyły najpóźniejszą kolonję i schronisko, gdzie trapieni chorobą szukają ukojenia.

Przez jedno z „okien” widok na zatokę Napoul i miasto Cannes na jej wschodnim wybrzeżu; na płaskim brzegu fale się przelewają i pienią, widać kąpiących się w morzu. Dalej znów zatoka i miasto Antibes. Przebywamy wreszcie rzekę Var, prawie bez wody, i znajdujemy się znów w obrębie systematu Alp, które przypierają do morza skałami wapiennymi—tutaj właśnie

jest ów „zgięty trzonek wachlarza”, o którym wspominaliśmy na początku podróży. Nad wieczorem przybyłem do Nicy, gdzie „odnalazłem Livingstona”, t. j. mego miłego i dzielnego towarzysza podróży, z którym rozstałem się w Ljonie, wyjeżdżając do Owerjni.

Przenocowawszy w Nicy, spieszymy rano na wybrzeże. Morze z szumem wali się na płaski, pokryty odczozyskiem brzeg i wyrzuca nowe odczozysko, które za powrotem fali stacza się po pochyłości wybrzeża, tak, iż za każdym szumem następuje grzechot jakby rozsypywanych orzechów. W ten sposób morze usypuje z odczozyska tarasy, odpowiadające drobnym zmianom jego poziomu. Odczozysko składa się z kamyków, doskonale wygładzonych, zaokrąglonych, nieraz dziwacznie wichrowatych kształtów: nie dziw, że niektóre pierwotne ludy nadmorskie oddawały cześć takim kamykom.

W innym miejscu, gdzie wybrzeże jest strome, fale wybijają nisze w jego ścianach wapiennych; uderzając wciąż w ścianę takiej niszy, fala bije ku górze i żłobi sklepienie niszy tak, iż z czasem z niszy tworzy się prawdziwa grotta, mająca wejście u dołu, u góry zaś zasłonięta ścianą zewnętrzną; ale fala, dostawszy się do groty, bije w górę i, odbijając się od ściany tylnej, uderza w przednią; z czasem wybija w niej okno, przyczym zapewne współdziała też ciśnienie powietrza, wpychane go przez falę do groty. W ten sposób prócz wielkiego otworu dolnego, grotta otrzymuje mały otwór górny ponad bramą—okno. Fala wpada do groty bramą, a wylewa się oknem; i tak wciąż bez końca, rytmicznie.

Te fale swym szumem rytmicznym—swą pracą burzącą i osadzającą, prowadzoną tu, na wybrzeżu, w naszych czasach, opowiadają nam i demonstrują poglądowo dzieje naszej planety. One to przygotowały i ułożyły materiał, potrzebny siłom wnętrza ziemi do zbudowania tych olbrzymich kolosów górskich, które obserwowaliśmy w Alpach. One to, chłonąc promienie słońca, wydzieliły tę wilgoć, która okryła głowy tych kolosów srebrną oponą śniegów — one dostarczyły materiału na te lodowce-delfiny, które „błękitną pierśią” spływają ku dolinom, by je obdarzyć wilgocią i zielenią.

Ale to cudowne morze, które teraz roz-tacza się przed naszym wzrokiem rów-

nież nie jest trwałe: jak wszystko na świecie, siła górotwórcza postępuje chronologicznie, w Europie ku południowi: niegdyś, w zaraniu życia organicznego na ziemi, wzniosły się Alpy na szkocko-skandynawskiej północy; później, w okresie węglowym — na francusko-niemieckim obszarze nizin i gór, obecnie, podobnie jak i północne, zniszczonych, złagodzonych, wygasłych; wreszcie w trzeciorzędzie—na śródziemnomorskim południu, od Gibraltaru do Kaukazu. Przyjdzie zapewne czas, gdy te otoczaki, które obecnie usuwają się z wybrzeża na dno morza, tworząc muzykę brzegową, spojone cementem skorup mięczaków, rozartych na muł, wzniosą się, wyparte siłami wnętrza, i utworzą nowe Alpy, gdy dzisiejsze zaczną już wygasać, dostarczywszy materiału na te otoczaki. I wtedy może jakaś istota przyszłości, istota nadludzka, stąpając po tych Alpach nowych, jak my dopiero co po Alpach Szwajcarskich, patrzeć będzie w jakimś muzeum na brutalne szkielety ludzi dzisiejszych, jak my patrzyliśmy na szkielety przedwiekowych potworów, zgromadzone w muzeum Berneńskim.

Ale zstąpmy z tych wyżyn czasu, wróćmy do chwili obecnej.

Znalazszy miejsce dogodne, kąpiemy się w morzu; odczozysko na brzegu i na dnie utrudnia wchodzenie do wody, póki się nie osiągnie głębiny, kamienie urażają w nogi; mój towarzysz znajduje na to sposób: twierdzi, że tutaj panuje taka swoboda, iż po morzu można spacerować w tych samych butach, co po ulicy. Ponieważ jednak na punkcie butów pozostało mi jeszcze z czasów uniwersyteckich szalone prze-czulenie, więc opanowuję mnie wątpliwość, zwłaszcza że przypominam sobie coś z logiki o nieodwracalności niektórych twierdzeń; stawiam więc kwestję, czy i odwrotnie—można chodzić po ulicy w tych samych butach, co po morzu? Mój towarzysz jednak jest naturą impulsywną: zanim zdołałem sformułować moje wątpliwości, on już spaceruje w butach po morzu! Duszę moją szarpia bolesne przecucia — *utinam fatus sum vates*. Niestety, nie wszystkie organizmy posiadają zdolność przystosowania się do zmienionych warunków, do nowego medjum; dla organizmów tak par excellence lądowych, jak buty, słona woda morska okazuje się częstokroć zabójczą; to też gdy fala wyniosła mego towarzysza znowu na ląd, można go

było już uważać za pozbawionego butów. W ten sposób stwierdzona została empirycznie nieodwracalność powyższego twierdzenia, a zarazem uzyskany nowy argument dla uzasadnienia sympatycznego prawa, że pionierowie nowych idei chodzą bez butów.

Nie dość tego: smutne doświadczenia są zwykle niewyczerpanym źródłem nauki; to też i mnie nasunęło ono ważny problem geograficznego rozpowszechnienia butów na naszej planecie. Badając najskrupulatniej empirycznie stan butów mego towarzysza po krótkim stosunkowo przebywaniu ich w wodzie morskiej, przyszedłem do przekonania, że rozpowszechnienie dzisiejsze butów na ziemi ze starego Świata do Nowego i na wyspy może być skutkiem jedynie przeniesienia przez człowieka, podobnie jak rozpowszechnienie się psa, szczura, pchły. Wniosek ten popierają też świadectwa podróżników, którzy na wyspach niezamieszkałych nie znaleźli zupełnie butów: widocznie nie zdołały się one same przedostać tam przez wodę morską. Granica rozpowszechnienia butów ma w ten sposób dążność do zlania się z granicą mieszkalni (oekumene); jednak trzeba zauważyć na zasadzie obserwacji skądinąd przeprowadzonych, że w wielu razach nie tylko pozostaje daleko w tyle poza tą granicą w związku z maleniem w tym kierunku stopnia cywilizacji, ale w obrębie własnej granicy, pośród ludzi cywilizowanych buty posiadają „wyspy“, do których nie mogły dociągnąć: unikają one mianowicie ludzi „zwyrodniałych“ t. j. więcej zaprzątniętych swą głową, niż inni bardziej fundamentalnymi częściami swego organizmu.

Woda morza Śródziemnego jest nadzwyczaj przezroczysta; już zdaleka jej piękna barwa błękitna, naturalna barwa wody, nie zdradza zanieczyszczeń; bezpośrednio zaś przekonujemy się o tym, płynąc po morzu: każdy kamyczek na dnie widzimy doskonale. Ta przezroczystość wody wynika z jej znacznej słoności, która przyspiesza osadzanie się mętów; na prerjach Ameryki Północnej nie tylko ludzie, ale nawet zwierzęta nie chcą pić wody ze źródeł bardzo przezroczystych, gdyż te są słone.

Wykąpawszy się w morzu, kładziemy się na wybrzeżu i przepędzamy czas inteligentnie: korzystając z odtoczyśka nadbrzeżnego, jakie niegdyś wychowywało proczary (Achaja!), rzucamy kamykami

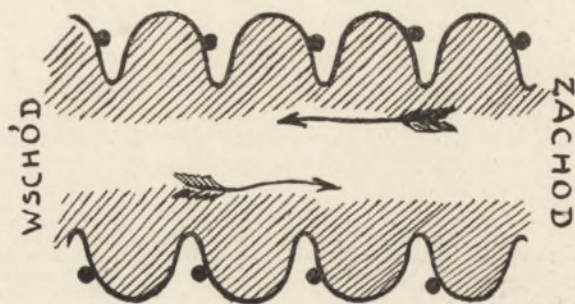
w jakiś cel, unoszący się na fali — kawałek drzewa, cytrynę i t. p. Podobno znużonemu wysiłkami myśli Taineowi, dla przeszkodzenia zagłębianiu się w sobie, wyrwania go nazewnątrz, lekarze radzili, by na przechadzkach posuwał przed sobą jakiś kamyk — wspaniałe lekarstwo, które może zabić człowieka udać. Czyż nie lepiej w takich razach położyć się nad morzem, słuchać jego szumu, patrzeć w jego szafir i rzucać na wyścigi kamykami w upatrzony cel. — A cóż to za uciecha, gdy dobroczynna fala podsunie pod nasz cel pustą butelkę! Gdy zaś do tego w butelkę taką trafi się kamieniem — to już kulminacyjny punkt szczęścia — coś jakby trafienie wielkiego losu!

Gdy pod wieczór słońce zniży się ku zachodowi i, wobec znacznego zboczenia północnego, znajdzie się za nami, wtedy morze przed nami zlewa się na horyzontcie z niebem bez żadnego znaku granicznego tak, iż okręty żaglowe, stojące w pobliżu horyzontu, zdają się wisieć w powietrzu. Później, wieczorem niebo zaczyna się odrzynać od morza smugą fioletową, a morze jaśnieje i zabarwia się w smugi złotawe i różowawe.

Nica, jak przeważna liczba miast portowych Rivieri, leży po wschodniej stronie łukowatej zatoki. Ta prawidłowość musi mieć jakąś przyczynę: — postarajmy się ją zbadać.

Jeżeli weźmiemy do ręki mapę morza Śródziemnego w Atlasie fizycznym Berghausa, to zobaczymy wzdłuż Rivieri narysowane strzałki, zwrócone ostrzem ku zachodowi: pokazują one kierunek prądu morskiego wzdłuż tego wybrzeża. Prąd, zwrócony ku zachodowi, zamula zachodnie strony zatok, podczas gdy wschodnie pod ochroną przylądków, niejako w ich cieniu, są wolne od osadów; dla tego miasta portowe leżą po stronie wschodniej; dla tego również ujściowy port Rodanu, obfitego w muł, leży po wschodniej stronie ujścia.

Jeżeli spojrzymy na szczegółową mapę wybrzeża przeciwległego, Berberyjskiego, to tam ujrzymy podobne łukowate zatoki, ujęte skalistymi przylądkami; położenie miast portowych i tam przedstawia prawidłowość, ale odwrotną: miasta te leżą nie po wschodnich, lecz po zachodnich stronach zatok (Oran, Algier, Bougie, Bona, Bizerta), a dalej ujściowy port obfitego w muł Nilu, Aleksandrja le-



ży po zachodniej stronie ujścia. Na mapie Berghausa strzałki, wskazujące kierunek prądu wzdłuż wybrzeża afrykańskiego, są też skierowane w stronę, przeciwną rwielowym, t. j. ku wschodowi.

Jeżeli teraz pójdziemy dalej w naszych badaniach i zapytamy, jaka jest przyczyna prądów i takiego, a nie innego ich kierunku, znajdziemy ją naprzód w suchości klimatu morza Śródziemnego: skutek silnego ulatniania się tego morza, poziom jego stoi niżej od poziomu Atlantyku, i dla wyrównania poziomu płynie przez cieśninę Gibraltarską prąd od Atlantyku do morza Śródziemnego; dostawszy się tutaj, prąd ten, pod wpływem wirowania ziemi, zbacza na prawo, jest więc wciąż naciskany ku wybrzeżu: wzdłuż wybrzeży południowych płynie na wschód, a po okrążeniu morza płynie wzdłuż wybrzeży północnych na zachód.

Tak więc odwrotna prawidłowość położenia miast portowych na wybrzeżach południowym i północnym morza Śródziemnego ma wspólną przyczynę w suchości klimatu śródziemnomorskiego i wirowym ruchu ziemi.

Przykład powyższy pokazuje nam dostatecznie, czym jest nowa geografja rozumowa w porównaniu do dawnej — suchego rejestru faktów. Czyni ona zadość nie tylko pragnieniu naszego umysłu, aby rozumieć otaczające nas zjawiska, ale prócz tego zdejmuje ona z naszego mózgu ciężkie brzemie, oszczędza nam pracy pamiętania: zamiast pamiętania masy luźnych faktów, dość nam zapamiętać jedną zasadę, z której wszystkie one wynikają, jako skutki konieczne. A jednak różni ludzie praktyczni a „wytrawni“ sądzą, że wypowiadają zabójczy dla rozumowości (a przy tym nowy!) argument: „a jednak pamiętanie faktów jest potrzebne”.

Nazajutrz wyjeżdżamy z Nicy ku wschodowi; pod Nicą i dalej znów kraina skał wapiennych, białych, rzeki znów bez wody.

W Monaco pałac ksiązęcy na stromej skale, wybiegającej w morze; z platformy cudowny widok, lecz ludzie miejscowi siedzą tu, pijąc najspokojniej piwo lub wino i grając w karty — zupełna obojętność na cuda przyrody. W pobliskim zaś Monte Carlo wspaniałe pałac gry i ludzie we łby sobie strzelają. Dzięki temu ksiązę Monaco może się spokojnie oddawać studjom oceanograficznym. To zestawienie przypomniało mi słowa Szekspira: „musi ktoś czuć, aby mógł spać ktoś”.

Przenocowawszy w Monaco, wyjeżdżamy nazajutrz (1 sierpnia) do Ventimiglii; tutaj granica włoska — *Eviva Italia!* Spotykamy dzielne postaci bersagliarów z pióropuszcami. Jedziemy dalej. Po drodze widać wszędzie mozolne, drobiazgowe gospodarstwo Włochów, to jest ogrodnictwo przy pomocy sztucznego nawadniania; nie dziw, że we Włoszech wyraz *rival* (mieszkaniec brzegu wody) stał się synonimem wroga. W małych ogródkach, skrzętnie uprawnych, winorośl wije się po altanach, tworząc tunele; studnie, tak ważne tu dla celów uprawy, są z korbami i manieżami dla człowieka, lub konia. Na drogach widać osły objuczone, niosące zboże do młyna, to też przysłowie włoskie mówi: „gdymłyn jest zamknięty, to osły tańczą”.

Ściemnia się. Jedziemy nad morzem; tor kolejowy leży tu widocznie na daleko niższym poziomie, niż we francuskiej części wybrzeża: tam, jadąc, widzieliśmy morze głęboko u stóp, tutaj fale jego prawie obryzgują tor kolejowy; dla tego to, przynajmniej po części, przebywamy tu daleko liczniejsze tunele, w których dusimy się dymem.



MENTONA.

Wśród nocy wybrzeża zatok wyznaczają się wienkami światła; wreszcie ukazują się światła Gieny, grodu, który wydał odkrywcę Nowego Świata.

Ze stacji jedziemy do hotelu w karetkce, która (podobnie, jak i tramwaje tutejsze) musi co chwila hamować, tak znaczny tu spadek posiadają ulice.

Nazajutrz wychodzimy na miasto. Ulice w wielu miejscach są tak wąskie, że trzy osoby rzędem zaledwie pomieścić się mogą; przytym są zawałone różnemi towarami przed każdym prawie sklepikiem, wywieszona zaś przez okno susząca się bielizna powiewa ponad głowami przechodniów. Przez okna przeciwległe możnaby niemal podać sobie ręce, a tymbardziej udzielać sobie wzajemnie bielizny; uliczki te tworzą taki labirynt, że nieraz miejscowi mieszkańcy nie mogą się zorjentować, lub nawet nie znają zupełnie sąsiednich im uliczek. Domy, ograniczające te uliczki, są wysokie około 5 pięter, stąd w mieszkaniach ciemno. Mieszkańcy starają się temu zaradzić: zasłony do okien są z białego płótna, naciągnięte sztywno między ramami. Rama taka da się odchylić nazewnątrz pod kątem do pionu, otwartym ku górze, skąd pada

światło; promienie jego, odbiwszy się silnie od białej powierzchni, oświecają pokój.

Ulice mają silne spadki, łączą się schodami: mówiliśmy o hamowaniu karetek; tramwaje przechodzą tunelem.

Jedziemy tramwajem na Campo Santo w górę, wzdłuż doliny wyschłego potoku: całe łożysko z otoczków. Pod mostem ulicznicy urządzili sobie buśtawki. Tu i owdzie widnieją kałuże, lub można ich się domyślać z bielizny, porozkładanej na dnie łożyska i suszącej się. Campo Santo—przybytek umarłych, gdzie anioł ciszy z palcem na ustach rozpościera swe panowanie. Stąpamy cicho wśród szeregu wspaniałych grobowców; gienjusz artysty zaklął tu w marmurze wieczne cierpienia człowieka—cierpienia umierających, rozpaczę, żale i lzy serc kochających, osierociałych, wobec śmierci istot ukochanych. A jakież realizm w tych postaciach! Zdaje się, że ich faliste szaty z kamienia są miękkie, że ich koronki poruszają się lekko; kwiaty z marmuru zdają się roztaczać woń.

Gdyby kiedyś na ziemi zjawił się taki rodzaj istot wyższych, któryby pokonał śmierć i cierpienie—gdyby ono znikło, nie mogło być poznawane bezpośrednio, to



PANORAMA GIENUI.

istoty podobne mogłyby na takich cmentarzach badać paleontologję cierpienia. Ale to tylko takie pedagogiczne przypuszczenie dla poglądowości! — Nigdy nie zajdzie ani potrzeba, ani nawet możność takiego badania: najtrwalsze pomniki, najtwardsze głazy w proch się rozsypią, a cierpienie wiecznie żyć będzie—ono jest tym „złotym drzewem życia” co się „wiecznie zieleni i wiecznie rozwija”. Bo choć wprawdzie usiłowaniami ludzkości cierpienie maleje obiektywnie, to jednak przez wysubtelnienie duchowe, przez wzrost wrażliwości jednostki rośnie ono subiektywnie, i to w stosunku szczęścianów.

Po południu udaliśmy się na zwiedzenie portu. Siadamy do łodzi. Stary, osiwiwały przewoźnik, prawdziwy wilk morski, o szerokich barkach, utykający na nogę, prezentuje nam różne „vela” i „vapora”; z tych ostatnich najwięcej „d’Inghilterra con carbone”, tak potrzebnym dla Włoch, pozbawionych węgla; na szczęście morze daje Włochom tani środek transportu — przeprowadzony przez Alpy, węgiel ten drogobieżnie ich kosztował.

Z innych parowców zwraca uwagę olbrzymi czarny statek bez kajut, oznaczony literą D—to prywatna własność gienuńskiego kupca zbożowego, handlującego z Odessą. I ten zapewne po długim, bohaterским życiu zakupi sobie u biednego

gienjalnego artysty wspaniały grobowiec na Campo Santo, Sztuka jest dziś jeszcze zarówno za życia człowieka, jak i po jego śmierci, udziałem jedynie bogatych, a bogactwo jest udziałem—sprytnych. Dokądże do uczuć najwznioślejszych mieszać się będzie zgrzyt ironji!

Nie tylko sztuka: nawet wyniosła, zimna nauka zgina się nieraz przed bogactwem: jak wielcy artyści cmentarze, tak uczeni podróżnicy, odkrywcy usiali całą ziemię imionami rozbójników i łotrów: mamy na ziemi Filipiny Rhodezje, archipelagi Bismarków i t. d. Te nazwy geograficzne—to pewnego rodzaju petrefakta, które przyszłej wyższej ludzkości świadczyć będą o etycznym poziomie chrzcicieli.

Zwiedziliśmy port, udaliśmy się piechotą na zachód na naturalne wybrzeże, aby się tam przyjrzeć wzburzonemu morzu, gdyż wiatr wzmagął się, a już nasz przewoźnik zauważył: „mare agitato”. Stanęliśmy na złomach skał, wkraczających, jak przyładek, w morze; fale, roztrzaskując się o nie, tryskały fontanną w górę coraz wyżej; nareszcie zaczęły nas zlewać rzęśnistym deszczem. Zbiegamy więc z przyładka i stajemy na niskim wybrzeżu żwirowym; tutaj fala za falą zbliża się ku nam kolejno, jak ściana i spada, szumiąc kaskadą; piana wbiega na niskie wybrzeże aż do naszych stóp. Lecz falowanie się wzmaga i grozi nam podcię-

ciem. Wbiegamy więc szybko na wyższy taras żwirowy; tutaj siadamy, wpatrujemy się w piany i wsłuchujemy w szum fal.

Wiatr się wzmaga; zapada noc; morze ciemnieje i zlewa się z powleczonej czarnymi chmurami niebem w jedną czarną otchłań, wśród której tylko czasem w górze zajaśnieje gwiazda, a na dole zabieli się smuga—to spieniona grzywa fali, która za chwilę dobiegnie do naszych stóp. Coraz wyżej i coraz wścieklej fala uderza, patrzymy w nią, i dusze nasze zlewają się z dłuższą falą; współczujemy jej — współczujemy tej fali płynnej, ruchliwej, co wiecznie z tą samą niezłamaną energią usiłuje rozerwać pęta, które jej narzucił brutalnie stężyły element — ład. Czy bezskutecznie ta fala za falą uderza w brutalny ład i ginie?—Nie: każda z nich swym uderzeniem wywołuje zmianę niewidzialną, drobną, nieproporcjonalną do jej wielkiego wysiłku; ale przez lat miliony, przez fal miliony, te drobne skutki sumują się, wyolbrzymiają i całkowicie zmieniają oblicze naszej planety, zmieniają wciąż bez końca. Te drobne niewidzialne skutki, te bezsilne napozór ataki są ewolucją ziemi; one ją popychają ku celom nieznanym. Takimi falami są duchy walczące.

Ale nie dajmy się unieść zbyt daleko tej analogii, którą nasuwa nam bezpośrednio wrażenie: fale nie walczą z zastojem; ład nie jest elementem tak nieruchomym, jakim nam się na pierwszy rzut oka wydaje w porównaniu z ruchliwymi falami—nietylko fale, lecz i ład jest elementem twórczym w ewolucji ziemi.

Ciemność dokoła zupełna, rozlegają się czyjeś kroki: to rybak stąpa, ogląda położenie swych łodzi, wyciągniętych na ład, umacnia płot linami i mówi do siebie „*mare cattivo — molto cattivo*”; wreszcie i on znika w ciemności. I tylko czasem przejdzie żołnierz z karabinem na ramieniu, śledząc, czy jaki śmiałek w tę noc burzliwą nie przewozi kontrabandy, broniąc się złodziejstwem drobnym od gniotącego go brzemienia złodziejstw wielkich.

Nazajutrz rano odwiedzamy raz jeszcze morze; jest jeszcze wzburzone, zielonawe, a wybrzeże spłowiełe. Wyjeżdżamy do Medjolanu; jedziemy doliną wyschłego potoku przez Apeniny, drogą zdobywczych armji francuskich. Na dnie wyschłego potoku tu i owdzie małe ogródki warzywne. W wyższej części doliny jest już woda i są tamy dla jej zatrzymania, stoki Apeni-

nu starasowane dla kultury, przez doliny przerzucono wiadukty. Podróż przez Apeniny psuły nam tunele, okurzające nas dymem. Prócz tego mieliśmy miłe towarzystwo: do przedziału wsiedli włoski żandarm i policjant o gębach bydłęcych, jak się należy; widocznie, jak zwykle, dobrze im się dzieje, gdyż rozwijają nadzwyczaj intensywną działalność fizjologiczną: jedzą, piją, zażywają tabakę, palą, pluja, i t. d. Cały wagon napelnili mieszaniną woni czosnku, trunków i tytoniu.

Jakkolwiek z natury muszę być zahartowany, to jednak ta kombinacja wrażeń węchowych ze wzrokowymi i innymi była mi nieznośniejsza od dymów tunelowych i odczułem żywo, choć nie po raz pierwszy, prawdę czyjegoś wyrażenia, że niema istoty bardziej nieestetycznej niż policjant. Doprawdy, może i mają w części rację artyści, twierdząc, że wiele ulepszeń społecznych możnaby osiągnąć na drodze (zresztą przydługiej) rozwijania wrażliwości estetycznej.

Za Apeninami krajobraz się zmienia; zamiast nagich skał, oliwek i palm Rivieri, tu rozległe obszary zieleni, plantacje morw, a także winorośl, kukurydza, pszenica. Przez słynne w historii wojen pola Novi i Marengo, przyjeżdżamy do fortecy Alessandrii; Tanaro—rzeka porządna, z wodą, nie tak jak po tamtej stronie Apeninów. Studnie już z źórawiami, nie z korbami, jak tam. Przejeżdżamy żyzne marglowe wzgórza Montferratu, oddzielone od Apeninów doliną Tanaro, pokryte winnicami; następnie—rzekę Po, pełną mielizn i dalej już równinę z tą samą co poprzednio kulturą i zielonemi polami ryżu, wyglądającymi jak zalane, zabagnione łąki; woda błyska w brózdach, stoi w kanałach. Wobec upału, zieleń pól ryżowych, od których powiewa chłód, działa orzeźwiająco; cóż za kontrast ze skalnemi, suchemi, pylunemi krajobrazami Rivieri; z jej rzekami, pełnemi rumowisk zamiast wody.

Przez Mortarę, przez dużą obfitą w wodę rzekę Ticino, przez mnóstwo kanałów, przybywamy do Medjolanu. To ognisko dróg Lombardji, wychodzących z Alp, zajmuje u ich południowego stoku takie stanowisko, jak na południe Bałkanu Adrjanopol wśród niziny Rumelji; oba zasłynęły w historii wojen, były celem dążeń napastników północnych.

Medjolan stanowi kontrast z miastami nadśródziemnomorskimi: o ile tamte, cisną-

ce się wzdłuż na górzystych wybrzeżach, były ciasne, brudne, o tyle to na rozległej równinie zabudowało się swobodnie, kolisto; miało dość miejsca na ulice szerokie oraz na przewiewne i rozległe parki, gdzie gra muzyka bersaglierów i bujają swobodnie po równym terenie cykliści. Zwiedzamy naturalnie słynną katedrę, której liczne, jakby koronkowe, smukłe, białe wieżyczki odbijają cudnie na tle lazurowego nieba Italji; wewnątrz ciemne, ale przez kopułę o szybach żółtych wpada mityczne smutne, żółtawe światło, niby jesiennego zachodu.

Rano wyjeżdżam z Medjolanu, dążąc do Wenecji. I znów rozległe równiny, owiewa mnie rzeźwiący chłód poranku i rzeźwiący powiew od zielonych zalewnych pól. Pędzimy, jak wiatr pociągami „accelerato” nie gorszym od francuskiego „rapidu”. — Pola, a raczej „ogrody ryżu, kukurydzy, wina, morw, a także topole i wierzby dzielące pola, migają przed oczami. Pęd kolei budzi uczucie przyjemne, bardzo skomplikowane: jest to przyjemność i odczuwania silniejszego powiewu i opanowywania przestrzeni, i doznawania coraz nowych wrażeń, oglądania coraz nowych widoków i wreszcie przyjemność tego złudzenia, że uciekamy od siebie dawnego, by odnaleźć jakiegoś siebie nowego, silniejszego, lepszego, szczęśliwszego.

Wogóle podróż jest najlepszą formą reakcji biologicznej, lekarstwem na przeduchowanie: podczas gdy wiele z tych lekarstw są środkami nasennymi, zawierającymi często trująco truciznę wstecznicstwa, to podróż jest lekarstwem, które jest zarazem środkiem odżywczym, pokarmem: uwalniając nas od nadmiernego brzemienia duchowego, cofając niejako w fazę nomadyzmu, wyciągając nazewnątrż, z bogactwa ona jednocześnie naszą treść duchową i daje mnóstwo impulsów; nie uwstecznia w cywilizacji, ale owszem popycha naprzód: z parafjanina czyni nas obywatelem świata nie tylko myślowo, ale i czynnie; a przytym uwalniając nas z więzów codzienności, potęguje naszą indywidualność.

Dziwne skojarzenie sprzeczności! Ale bo też ewolucja polega często na powrocie do dawnych, niewyzyskanych stanowisk z nowymi, przez cywilizację dostarczonemi, siłami duchowemi—niby nowe podjęcie eksploatacji dawno zarzuconych kopalni z udoskonalonemi środkami technicznymi.

Może więc ludzkość powróci kiedyś do życia nomadycznego—naturalnie nie w znaczeniu niewolniczej zależności od przyrody i bydła, lecz odwrotnie: w znaczeniu pokonania przyrody, pokonania odległości przez udoskonalenie środków komunikacji; w znaczeniu pokonania globu, zerwania więzów, przykuwających dzisiejszego człowieka do miejsca, zacieśniających jego horyzont zarówno przestrzenny, jak i umysłowy, zabijających myśl i energję jednostajnością wrażeń.

Wszakże już dziś Yankesi, którzy żyją daleko intensywniejszym życiem kulturalnym niż my, którzy wydają na cele nauki i kultury daleko większe sumy, niż my na dewocję i paralityków, a zwłaszcza owacyjne bibki; i ludzie, tak naprzód w kulturze wysunięci, prowadzą przez znaczną część roku na prerjach i w „parkach” życie nomadów pod namiotami, przenoszą się z miejsca na miejsce, uwalniając się tym sposobem od ciasnoty i śwędu życia osiadłego, a zarazem czerpiąc nowe pobudki dla działalności umysłowej.

Kolej pędzi po nasypie, ponad polami, rzekami i kanałami. Szeregi drzew morowych bądź toną wśród wysokiej kukurydzy, bądź odbijają się wyraźnie, to na tle właściwej tym okolicom ziemi czerwonej (ferreto), świeżo spulchnionej, to od płowego rżyska, to od świeżo skoszonych jasnozielonych gazonów, na które kuliste korony drzew kładą owalnie swe, ukośnie przez poziom przecięte cienie.

Stacja Romano. Na północy ze mgły porannej wynurzają się Alpy Bergamaskie, uwieńczone obłokami. Obserwując z biegnącego pociągu zbocza rowów i kopiących się kanałów, widzimy, że warstwa gliny spoczywa tu na odtoczysku rzeczonym. Widać dawniej pęd wody był silniejszy: podwyższenie poziomu osadami, a głównie zmniejszenie się ilości wody od czasu dawnych potoków, spływających z dawnej skorupy lodowcowej, pokrywającej niegdyś północ Lombardji, wpłynęło na zwolnienie wód, a stąd na zdrobnienie osadów. Podkład ten przepuszczalny musi być gruby, gdyż studnie są z korbami. Na południe od linii kolei, gdzie to odtoczysko diluwjalne, pochłaniające wody, urywa się, występuje linja obfitych źródeł (fontanili).

Przed stacją Ravato wciska się między Alpy i linję kolei prawie podchodzący ku niej łańcuch pagórków (Mt. Orfano), uwieńczonej osadami ludzkiemi, a za nim

piramidy Alp rysują się coraz wyraźniej. Pod Brescją i dalej przedgórze Alp podchodzą do samej prawie kolei, pośród ska-pych zarośli wyglądają szare skały. Za stacją Rezano, ku jezioru Garda, Alpy odbiegają znów na północ. Winorośl, jak wszędzie we Włoszech rozpięta na altanach, tworzy tunele, lub girlandami zwiesza się od drzewa do drzewa, co winnicom nadaje tutaj widok malowniczy. Pod stacją S. Marco winnice zaczynają stanowić wybitną cechę krajobrazową.

Wjeżdżamy we wzgórze morenowe, otaczające amfiteatralnie z południa jezioro Garda; kolej przechodzi te wzgórze przekopami wśród wapiennego rumowiska i tunelem. Dalej biegnie po wysokim nasypie; u jego stóp w dole, po lewej stronie, leży Desenzano i rozlewa się cudowne opiewane przez poetów jezioro Garda, wkraczające zatokowato w Alpy, niby fjord skandynawski, przeniesiony pod promienne niebo południa. Jezioro Garda urozmaiceniem brzegów przypomina jezioro czterech kantonów, a lazurem wód nawet przewyższa słynny Leman; podobno najwyższy stopień barwy szafirowej na skali badacza Lemana, Forela, okazał się dla wód jeziora Garda jeszcze za słaby.

Na szafirze jeziora unoszą się czerwona-żagle statków i wysepka, a właściwie długi półwysep Sermione, wkraczający w jezioro z południa. Za jeziorem piramidy Alp, ginące w błękitnych oparach. Po prawej stronie kolei towarzyszą nam wciąż morenowe wzgórze; na nich leżą: Castiglione, Solferino, Cavroana, Custoza, miejscowości słynne w historii wojen. Po lewej błyska to samo jezioro i mury czerwone olbrzymiej fortecy, kryte ziemią i zewsząd oblane wodami jeziora i wypływającej zeń rzeki Mincio. Stacja Peschiera oraz za nią wzgórze z obu stron kolei uwieńczone winnicami; na przekopach widać wielkie i małe głazy wapienne luźne. Za stacją Castelnuovo pola już nie tak zielone, spalone od słońca, spłowiałe. Na szczytach wzgórz z winnicami widać tu i owdzie smukłe cyprysy — to cmentarze, czy pomniki poległych? Za stacją Campagna wzgórze się kończą, wjeżdżamy znów na równinę; tylko zdala po lewej Alpy wciąż towarzyszą nam. Pola znów zielone, przerznięte kanałami, kolej biegnie po nasypie. Stacja Werona, znów olbrzymia forteca, broniąca Włoch od strony Tyrolu (dolina Adygi); przejeżdżamy męt-

ną, białawą Adygę, i po drugiej stronie znów obwarowania, a obok, jakby dla kontrastu, idylla: winorośl zwiesza się festonami od drzewa do drzewa.

Dalej za stacją S. Martino występują znów wzgórze po lewej stronie kolei, a za stacją Lonigo — także i po prawej, lecz zdala. Są to jednak wzgórze inne, nie morenowe, lecz wulkaniczne, uwieńczone kościołami i ruinami zamków oraz winnicami. Po stronie lewej są to bazaltowe góry Vicentyjskie, zrosnięte z Alpami. Po stronie prawej — to wyspowo wśród równiny wznoszące się trachitowe góry Berici; w miarę jak zbliżamy się do Vicenzy, góry te podchodzą coraz bliżej od strony prawej.

Pod Vicenzą przejeżdżamy rzekę Bacchiglione (dopływ Brenty), tunele i przekopy i opuszczamy pagórki, które z prawej strony jeszcze widnieją daleko, z lewej zaś rozpościera się równina bez końca z niwami i drzewami; wzgórze ani śladu, nawet Alp nie widać, odbiegły daleko na północo-wschód, za to wszędzie liczne kanały, pola kukurydzy i bujna zieleń winorośli w festonach i alejach. Wreszcie przed stacją Mestrino ukazują się zdala po prawej stronie nowy łańcuch gór stożkowych, które rysują się ostro jako szarawo-błękitne sylwetki — to znów wulkaniczne, trachitowe Euganee.

Euganee, jak i poprzednie Berici, wznoszące się obecnie wyspowo wśród niziny Lombardzkiej były niegdyś prawdziwymi wyspami, gdy nizina ta, jeden z najmłodszych krajów Europy, była zatoką Adryatyku. Następnie dopiero została wypełniona osadami lodowcowymi na północy, a rzeczniemi na południu. Te góry są już ruinami wulkanów: pozbawione przez spłókanie swych płaszczy popiołowych, przedstawiają tylko lawowe jądra, szkielety, które wypełniały niegdyś kanały wulkanów popiołowych. Rozłożone u południowej strony Alp, pokryte winnicami, stanowią one odpowiednik do Karpackiej Hegyalji, dostarczającej słynnego tokaju.

Jedziemy wśród nieskończonych festonów winorośli, stacja Padowa (Padwa), Euganee znikają. Dalej stacja Ponte di Brenta, gdzie przebywamy rzekę Brentę, białawo-mętą, płytka, a poniżej kanał, wprowadzający ku południowi wody rzek zdużających ku lagunie Weneckiej i chroniący ją od zamulenia i zgotowania Wenecji



Gondola i tor kolejowy.

takiego losu, jakiego doświadczyła Ravena lub miasta „umarłe” na zachód delty Rodanu.

Stacja Mestre. Przed nami rozlegają się nieprzejrzone bagniska, przechodzące dalej aż do skraju horyzontu w nieprzerwaną toń wód—laguna. W dali na prawo zaczyna coś majaczyć — to piękna królowa Adrjatyku, oblubienica morza, wynurza się z wód w promieniach słońca, jak Afrodyta.

Od lat dziecinnych Wenecja była moim marzeniem; obrazy jej miałem głęboko wryte w wyobraźni—obecnie rzeczywistość, bezpośrednio wrażenie znalazły w umyśle moim gotowe formy i chciwie zaczęły się w nich układać. Wjeżdżamy na niski most kamienny, prowadzący przez jezioro Ponte sulla Laguna, długi blisko pół mili i wkrótce stajemy w Wenecji; tu wsiadamy na parowiec i płyniemy przez esowaty Canal Grande—płynną ulicą między domami, pałacami i kościołami, jakby wyrastającymi z wody. Domy przypierają do kanału płasko, nie wybiegają ku wodzie żadnymi gankami, niema na to miejsca; drzwi domów schodzą bezpośrednio do wody, („wyrzucenie za drzwi” musi być w Wenecji szczególnie niemiłe); przed nimi

sterczą z wody słupy do wiązania gondoli, które tu zastępują miejsce dorożek—tak jak miejsce tramwajów—statki parowe. Domy posiadają jednak balkony—pełne kwiatów, zastępują one ogrody. Pałace, niegdyś przybytki bogatej, szumnej arystokracji, dziś wyglądają jak przybytki umarłych. Liczne kościoły były niegdyś patronami różnych gałęzi kupiectwa, dziś nie mają już czemu patronować. Niektóre zostały zbudowane dla ochrony Wenecji od zarazy, która mimo to wielce trapiła to miasto, jako utrzymujące ścisłe stosunki ze Wschodem. Przepływamy pod marmurowym mostem Rialto, po którym zuów przepływają dwa przeciwne strumienie ludzi. Po obu stronach Canal Grande odsłaniają się co chwila wąskie kanały—jego minjatury z minjaturowymi mostami Rialto.

Wylądowujemy na placu św. Marka, jest to terra firma Wenecji, miejsce uroczystości, ognisko życia.

Czyż mam opisywać kościół św. Marka; ten oryentalny pendant do zachodniego gotyku katedry Medjolańskiej, zapowiadający bliskość bizantyjskiego Wschodu; czy mam mówić o smukłej Campanilli, która zwała się na krótko przed moim przyby-

ciem pod wpływem obsiadania luźnego błotnistego gruntu, na którym zbudowana jest Wenecja, a z którego przy próbach wiercenia studni artezyjskich wybuchały gazy organiczne, podobnie jak na błotnistej delcie Mississipi. Czy mam mówić o kamiennych lwach św. Marka; czy o żywych, łaskawych gołębiach, karmionych na placu przez amatorów; czy o pałacu dożów z jego zabytkami sztuki u góry, a sraszliwymi podziemnymi więzieniami, niby studnie (pozzi), u dołu, gdzie spowiadano na śmierć i tracono, a krew ofiar wlewała się prosto do morza, za nim wrzucono tam trupa; czy o fatalnym „moście westchnień” (Ponte dei Sospiri), przez który szli przestępcy, by usłyszeć swój wyrok. Czy o fabryce mozajek, gdzie, jak niegdyś w pozzi, siedzą więzione robotnice, wybladłe i brzydkie—objaw doboru naturalnego, bo ładnym życie samo układa mozajkę. Czy o labiryntach wązkich uliczek Wenecji, tak zawitych i tajemniczych, jak pełna zdrad machina rządowa starej Wenecji, stworzona przez chciwą a podejrzliwą arystokrację, którą trapiła wciąż obawa, by jej nie wydarto zagrabionych skarbów—wszelki system, na gwałcie lub fałszu oparty, musi być zawily.

Czy mam mówić o przejmującej ciszy tego osobliwego miasta, nie przerywanej nigdy turkotem kół i tętentem koni, gdzie zamiast hałaśliwych wehikułów, czarne gondole ze stojącymi gondoljerami przesuwają się cicho jak cienie. Raz tylko jeden w tym kacerskim wieku cyklista, naturalnie amerykański, ośmielił się przejechać przez plac świętego Marka, ale otoczony przez tłum, dostał się wraz ze swą „maszyną” do kozy i musiał zapłacić karę za swój czyn bezbożny.

Czyż mam opisywać cudowną noc wenecką, która rozpościera szafirowy, usrebrzony gwiazdami baldachim nad białymi kolumnami placu św. Marka, lub rzuca niezliczone światła pałaców, latarni, statków i gondoli na płynne lustro laguny.

Czy mam opisywać...

Ależ wszystko to już wiecie — wszystko to już opisały wielokrotnie pióra znakomite—ach, niestety, i pióra tylu grafomanów.

Żegnaj cudowna Wenecjo, ty, która potrafisz urzeczywistnić młodzieńcze marzenia, ty, która nie rozczarowywasz wyobraźni—żegnaj—czy jeszcze zobaczę cię kiedy?

Nazajutrz po przybyciu do Wenecji, nad wieczorem, spakowałem manatki i drobne barwne pamiątki; gondolą dostajemy się na pokład węgierskiego parowca Hegedus Sandor; wkrótce podpływa do statku łódź ze śpiewakami, którzy śpiewają pieśń pożegnalną—rzucamy im resztę włoskich sol-dów.

Statek podnosi kotwicę, płyniemy; lustro laguny runieni się na chwilę zorzą wieczorną; pojawia się na krótko blade sierp rosnącego księżyca; gonię wzrokiem znikającą Wenecję i przenoszę się myślą w zamierzchłe czasy dziejowe, w czasy palafitów.

Przepływamy przez cieśninę w lido z obwarowaniami i dostajemy się na pełne morze, na które tą samą drogą wpływał niegdyś świetny, wspaniały Bucintoro dla „poślubienia morza”.

Noc zapada, zapalają się gwiazdy. Płyniemy na południo-wschód. Przed nami błyszczą Jowisz, jak gwiazda przewodnia. Krawędź horyzontu zaciera się, niebo i morze zlewają się w jedno i okręt nasz zda się płynąć, jak statek powietrzny, pośród jednolitego bezmiar.

Znacznie już po północy błyskają po lewej stronie światła Istrii, a następnie światła Dalmacji; po prawej ciemność głęboka. Światła ziemi łączą się z nisko wiszącymi światłami nieba w niebawale gwiazdozbiory. Gwiazda polarna, świecąca tu niżej niż u nas, towarzyszyła nam dotąd z lewej i nieco z tyłu, teraz przechodzi coraz bardziej ku przodowi, a Jowisz—na tył, podczas gdy na przodzie z boku pojawia się Wenus — skręcamy więc teraz na wschód i północo-wschód. Wpływamy do zatoki Quarnero. Brzegi szarzeją i płoną pojedynczemi światłami. Na północo-wschodzie zapala się różowawe światło wschodu i oddziela pasem ciemniejsze morze od jaśniejszego błękitu nieba — słońce wschodzi i oświeca Fjume, jedyne okno, przez które Węgry ze swej szczerlnie zamkniętej komnaty wyglądają na morze i wdychają jego szeroki powiew. Znów, jak w Prowancji, ściany wapienne spadają tu ku morskim szafirom, znów występują uzdrowiska zimowe (Abbazia), znów woda znika w szczelinach wapienia, by ukazać się u stóp skalnych jako źródła tak obfite, iż stają się od razu żeglownemi rzekami (Rieka pod Fjume, Timavo pod Tryjestem), które niegdyś otaczano czcią podobnie jak Vacluse. To wapienna wyżyna Karstu,



WNECJA z lotu ptaka.

połud.-wschodnie skrzydło Alp. Zbliżyliśmy się więc od południa znów do tego wachlarza, który napotkaliśmy po raz pierwszy na północno-wschod. w Kahlenbergu. W Karšcie siła górotwórcza złożyła warstwy wapienne w fałdy i wywróciwszy je w stronę zapadliny Adrjatyckiej, nadała im znów położenie prawie poziome, jakby nienaruszone.

Koleją z Fjume do Karlstadu przebywamy najbardziej typową część Karstu z licznymi „dolinami” i wertebami. Krawędź Karstu przesywamy tunelem i jesteśmy na grzbiecie wyżyny. Przed nami błyska szafirowe lustro zatoki Quarnero z wapiennymi wybrzeżami wysp i Abbazją, ginącymi we mgle błękitnej. Głębokie przekopy kolejowe przez skały wapienne wyglądają jak kanjony—erozja ludzka! Na grzbieciech szare rumowiska z krzakami, gdzieś tam czerwieniejące od rozkładu; doliny okrągłe, z dnem zielonym; tu białe, rozrzucone pośród nieraz wysokich drzew, czynią wrażenia cmentarzy. W wielu miejscach kultura sięga w górę po zboczach „dolin”, podpierając je tarasowato tamami z rumowisk, na kształt ławek amfiteatru; jasne zwierciadło morza błyska jeszcze czasami po stronie prawej, to znów po lewej (kolej

się wije); te jasne widoki nikną chwilami w mrokach tuneli. Dróżki, biegnące przez „doliny”, są smugami żółtawymi.

Dla ochrony kolei od zasp (wicher bora, krewniak mistralu) wzniesiono parkany drewniane lub kamienne. „Doliny” bywają niekiedy złożone: wśród jednej większej kilka małych, niekiedy ogrodzonych dokoła murem z kamieni, jakby pod cyrklem; z góry wyglądają one, jak dziecinne ogródki. Dalej na północ Karst, pokryty na górze lasami jodłowymi, posiada otwarte doliny z rzekami.

Stacja Ogulin. Opuszczamy Karst. Dalej pagórkowata, gliniasta, żyzna kraina dorzecza Kulpy (dopływu Sawy). Znów więc wróciliśmy do dorzecza Dunaju, z któregośmy wyruszyli dla objechania Alp. Znów rzeki wiją się modremi wstęgami wśród zieleni pól i łąk; przypomina to nieco nasze krajobrazy lubelskie nad Wieprzem i Bystrzycą, tylko, że wśród niw zbożowych kukurydza zajmuje znaczne przestrzenie. Kulpę przejeżdżamy pod Karlstadem; przed nami rozściela się szeroka dolina; przejeżdżamy Sawę i Zagrzeb; dalej Mezopotamja Sawy i Drawy, w części równina z kukurydzą, łąkami i lasami dębowymi, w których pasą się świnię; na-

stępnie okolicę urozmaicając lesiste pagórki. Upał zabójczy.

Stacja Koprzywnica—ostatnia w Sławonji—przebywamy mętną Drawę i wjeżdżamy do Węgier, gdzie, jak mówi pieśń ludowa, „równiny gładkie jak morze, a na nich rodzą się mężni”. Rozległe pola kukurydzy, pszenica w mendlach i stertach, drogi wysadzone topolami włoskimi; zresztą tu jeszcze występują pagórki.

Noc zapada, mój towarzysz zasypia, jakiś pociąg mija nas w szalonym pędzie, niby rumak z ognistą grzywą. Mój towarzysz, specjalista od kolei, otwiera jedno oko i mówi: „a to ten pociąg, co z Pesztu wyszedł o 7-ej min. 51; w Rjece będzie jutro o 6-ej min. 32” i zasypia na nowo. Na ostatniej stacji pod Pesztem budzi się znów: „gdybyśmy pojechali tamtym pociągiem z Rjecki, co pan chciał, dojeżdżalibyśmy teraz dopiero do Zagrzebia”; znów zasypia i snuje zapewne dalej we śnie misterną tkaninę na tle sieci kolejowej.

W Peszcie w nocy przechodzimy na drugi dworzec i jedziemy dalej na półn.-zach. ku dolinie Waagu. Na razie znajdujemy pusty przedział i układamy się spać, lecz nie na długo: na którejś stacji robi się hałas nieopisany i wsiadają tłumy Słowaków, kosiarzy z tobołami, żonami i dziećmi; wrzście wszystko się uciszyło, ale to tylko cisza przed nową burzą, z innego punktu. Mój niezmiernie bystry towarzysz przewidział to odrazu: otworzył jedno oko i, jak nowy Leverrier do nowego Gallego, rzuca mi nieodwołalne: „teraz zaczął palić fajki”. I rzeczywiście: za chwilę dusiliśmy się w smrodliwym dymie tytoniowym, i gdybyśmy byli omackiem nie uciekli do dalszych wagonów, przywiezionoby nas w stanie wędlinowym.

Zaczyna szarzeć: ranek mglisty, chłodny; jedziemy na północ doliną rz. Wagu, rozciągniętą między górami, przypominającą Limagne; przebywamy Karpaty przez Jabłonków, góry porośnię lasami jodłowymi; na polankach drewna do suszenia siana. Przejeżdżamy przez Cieszyn w pagórkowatej okolicy nad płytką Olsą, szumiącą po skałach piaskowcowych; przez Kar-

win z kopalniami węgla—na polach zamiast drzew jodłowych tyczki z przecznicami. przez Bogumiń (Oderberg), już na 200 m; tylko nad powierzchnią morza; przez krainę niską stawów i gospodarstwa rybnego okolic Oświęcimia, za Oświęcimem przejeżdżamy Wisłę; kraj wciąż błotnisty.

Mój towarzysz snuje wciąż kombinacje kolejowe możliwych przyszłych podróży; wyznacza czas, numery pociągów, nazwy stacji przypuszczalnych marszrut i t. p. Gdy wyczerpie własne przypuszczalne potrzeby, służy skwapliwie z radami pasażerom i jakimś handlarzowi chmielem odbywającemu daleką podróż, wskazuje drogi i oszczędza mu tym sposobem kilkanaście guldenów i sporo czasu. W wagonie jest kilku żydów ze stroskanymi minami: obawiają się, czy zdążą na szabas. On udziela im rad; otaczają go kołem i patrzą jak chorzy w twarz doktora, a on każdemu z zupełną pewnością radzi, który gdzie ma wysiąść, na jaką linię się przesiąść, by trafić do swego miejsca na czas. Powinien był zostać ministrem komunikacji lub generalnym kwatermistrzem armii. Jeszcze tego dnia wieczorem stanęliśmy z powrotem w Krakowie. Tu dopiero na dworcu przekonałem się, jakie niebezpieczeństwo groziłoby nam, gdybyśmy się byli dali uwędzić w dymie słowackim: wieźliśmy ze sobą resztki zapasów podróży w postaci nawpół opróżnionego koszyka brzoskwin, kupionych od kupca włoskiego na sali Hegeder Sandor; gdy bystry wzrok urzędnika spoczął na nim, schwycono nas, zawleczono do wagi, stąd do okienka, za którym urzędnik pisał coś i pisał, obliczał i grzmiącym głosem zażądał opłaty 2 centów, na co następnie wystawił nam pokwitowanie. Jeżeli już z niewinności brzoskwiniami było tyle rwetesu, to cóżby się stało, gdybyśmy cali zjawili się na dworcu w postaci wędlin!

Tu był właściwie kres naszej podróży „błyskawicznej.” Niezliczone obrazy, które tak szybko w ciągu jednego miesiąca przesunęły się przed memi oczyma, wydają mi się obecnie już tylko snem.

KONIEC.



Omyłki druku:

Str.	Wiersz	Wydrukowano:	Powinno być:
8	19 od góry	i gór jeziora	gór i jeziora
„	5 od dołu	okolice	okolicy
23	10 „ „	życia	życie
24	4 „ „	Fliescherhörner	Fiescherhörner
28	7 „ „	lecz się	lecz ten się
30	2 od góry	Kopernik	Kopernika
38	9 „ „	źródło	źródła
„	26 od dołu	grzbiet	grzbiet wyżnowy
39	18 od góry	Birge	Biore
40	6 „ „	Georgowję	Giergowję
46	23 od dołu	dociągnąć	dosięgnąć
47	na figurze napisy: <i>zachód</i> i <i>wschód</i> są przedstawione; opuszczono też podpisy; pod figurą górną: <i>Typ Rivierowy</i> ; pod figurą dolną: <i>Typ Berberyjski</i> .		
51	18 od góry	i ludzie	ci ludzie
„	4 od dołu	Ravato	Rovato
52	21 „ „	Cavroana	Cavriana
54	19 „ „	zatok	zatoki
55	8 „ „	tu białe	tu białe głazy
56	15 „ „	na sali Hegeder	na statku Hegedus



Księgarnia Naukowa w Warszawie, Krucza 44.

Wydawnictwa własne i otrzymane na skład główny:

	Rz. z.
Abramowski E. Dusza i ciało	1 50
Avelling E. Teorja Darwina, z ilustr.	80
Bellamy E. W wieku XXI	50
Bem Antoni Gustaw. Szkice literackie. Wydanie pośmiertne z portretem autora i przedmową Ign. Chrzanowskiego	3 20
B. S. Elementarne zasady ekonomji politycznej	25
Bordler A. Mikroby i transformizm	20
Brückner A. Cywilizacja i język	80
Brückner A. Starożytna Litwa. Szkice historyczne i mitologiczne	1 25
Clifford W. K. Szkice filozoficzne	40
Doroszewicz W. Sachalin (z ilustracjami). Cena części II-ej (zniżona)	30
E. B. Japonja. Kraj i ludzie (Bibl. społcz.)	— 15
Garszyn W. Nowele	1 —
Geljerstam G. Książka o małym braciisku, w przekł. M. Posner-Garfeinowej	1 20
Głos kobiet w kwestyi kobiecej	2 —
Golińska Z. Spółki rolnicze i handlowe (Bibl. społcz.)	— 20
Gomme G. L. Folklor w etnologji	80
F. S. Szkice z dziejów filozofji	40
Herrmann E. Przyczynek do psychologji ludów	20
Ire Adsol. Głód życia	1 50
Karpowicz i Szygówna. Nasza literatura dla młodzieży	— 60
Kautsky K. Narodowość i jej początki	10
Key Ellen. Stulecie dziecka, w przekładzie Izzy Moszczeńskiej	1 50
Konio H. Dzieje prawa małżeńskiego w Królestwie Polskim	2 —
Kowalewski M. Zarys początków i rozwoju rodziny i własności	1 —
Kowalewska Z. Chłopski uniwersytet w Szwecji. (Biblioteka spółczesna)	15
Krakowski W. Nowa Zelandja. (Biblioteka spółczesna)	20
Kramsztyk St. Ostatni z nieważników. Eter i jego znaczenie w fizyce dzisiejszej	35
Krusiński St. Szkice socjologiczne	60
Krusiński St. Szkice ekonomiczne i filozoficzne	60
Krzywicki L. Systematyczny kurs antropologji. H. Rasy psychiczne (z ilustr.)	1 20
Krzywicki L. Cerebracja żywiołowa. "Przyczynek" do psychologji spirytyzmu	35
Krzywicki L. Kwestja rolna. Przewrót w produkcji wiktuałów	2 50
Krzywicki L. Nasze potrzeby naukowe	20
L. W. Ziemia polskie pod berłem pruskim (Bibl. społcz.)	— 20
Lippert J. Jak się ludzie nauczyli gotować?	15
Mataja Wiktor. Wielkie magazyny i drobny handel	50
Marchlewski J. B. Fizjokratyzm w dawnej Polsce	35
Moszczeńska J. Czego nie wiemy o naszych synach	50
Multatull. Wybór pism w przekładzie Posner-Garfeinowej	1 50
Niemojewski A. Bajka	60
Ochorowicz Julian. Bezwiedne tradycje ludzkości	80
PORADNIK DLA SAMOUKÓW. Część I, III, IV,	3 —
Posner S. Ruch etyczny I	15
Posner S. Nad otchłania. W sprawie handlu żywym towarem	50
Przepisy o wynagrodzeniu robotników (wyd. nieurzędowe)	15
Przeradzka W. Fragment	1 —
S. K. W naturze nic nie ginie	20
Silberstein L. Wstęp do dziedziny zjawisk elektro-magnetycznych. Część I. Niezmiennne pole magnetyczne, (z ilustr.)	1 —
Schoenlank B. Kartele i syndykaty (na wyczerp.)	30
Tisserand F. Szkice astronomiczne z ilustr.	80
Tołstoj L. Wiatronogi, w przekładzie G. Daniłowskiego	60
Tylor E. B. O metodzie badań rozwoju instytucji w zastosowaniu do praw małżeństwa i pochodzenia	20
Tyndall J. O świetle (z ilustr.)	30
Warburg E. Zasady fizyki, w przekładzie St. Bouffała	3 —
Witkowska H. Historia ustroju Polski w zarysie. (Biblioteka spółczesna)	4
K. R. Żywiołki. Przed i po 1 października (na wyczerp.)	3

W PRZYGOTOWANIU:

- Baudouin de Courtenay. Psychologia języka polskiego.
 Brückner A. Różnowiercy Polscy. Szkice obyczajowe i literackie. Serja I.
 Koszutski St. Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego w ostatnim 30-leciu.
 Posner S. Japonja—Państwo i prawo
 Sully J. Psychologia wychowawcza.

5351

